EMIGRACYA CHŁOPSKA

OBRAZ DRAMATYCZNY LUDOWY

W PIĘCIU AKTACH

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

UWIEŃCZONY NAGRODĄ LUDOWĄ NA KONKURSIE KRAKOWSKIM 1876 R.

ZASTRZEGA SIĘ WOBEC SCEN PRAWA AUTORA

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

TEATR AMATORSKI.

UWAGA: Liczba osób, biorących udział, podana przy każdej komedyjce. K oznacza kobiety, M mężczyzn.

Nr. 1. **Przy kolei**, komedya w 1 akcie Jordana. K: 3 — M: 3.
Nr. 2. **Zięć dla parady**, kom w 1 akcie J. Blizińskiego. K: 2 — M: 5.
Nr. 3. **Pierwszy bal**, kom. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 6 —M: 2.
Nr. 4. **Ciekawość, pierwszy stopień do piekła**, przysłowie dramatyczne w 1 akcie J. Chęcińskego. K: 2 — M: 3.
Nr. 5. **Gałązka jaśminu**, komedya w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 3 — M: 4.
Nr. 6. **Biała kamelja**, komedya w 1 akcie. K: 1 — M: 2.
Nr. 7. **Gramatyka**, czyli kandydat do rady powiatowej, krotochwila w 1 akcie, przerobił z fran. St. Koźmian. K: 1 — M: 4.
Nr. 8. **Dwóch głuchych**, komedya w 1 akcie. K: 1 — M: 5.
Nr. 9. **Schadzka**, krotochwila w 1 akcie Z. Przybylskiego K: 1 — M: 2.
Nr. 10. **Na przekór**, krotoch. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 3 — M: 3.
Nr. 11. **Dyament nieoszlifowany**, kom. w 1 akcie Ant. Hoffmanowej. K: 2 — M: 5.
Nr. 12. **Post scriptum**, kom. w 1 akcie E. Augier'a. K: 1 — M: 2.
Nr. 13. **Przed obiadem i po obiedzie**, przysł. dramatyczne w 1 akcie J. Chęcińskiego. M: 5.
Nr. 14. **Przez zazdrość**, komedya w 1 akcie Alfreda Musset'a. K: 2 — M: 3.
Nr. 15. **Przegrany zakład**, krotochwila w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 6 — M: 6.
Nr. 16. **Dwie wdowy**, kom. w 1 akcie F. Mallefille. K: 2 — M: 3.
Nr. 17. **Wdówka**, kom. w 1 akcie Delacour i Thibaut. K: 2 — M: 2.
Nr. 18. **Przysługa**, kom. w 1 akcie z francuskiego. K: 2 — M: 3
Nr. 19. **Wycieczka za granicę**, komedya w 1 akcie K. Zalewskiego. K: 1 — M: 3.
Nr. 20. **Pomyłka pana Lambineta**, kom. w 1 ak. H. Meilhac i L. Halèvy. K: 3 — M: 4.
Nr. 21. **Dwaj nieśmiali**, kom. w 1 ak. Michel i E. Labiche. K: 2 — M: 3.
Nr. 22. **Przez wdzięczność**, drobnostka scen. w 1 ak. E. Lubowskiego. K: 2 — M: 6.
Nr. 23. **Deszcz i pogoda**, kom. w 1. ak. L. Gozlan. K: 2 — M: 2.
Nr. 24. **Podarunki**, kom. w 1 akcie J. Normanda. K: 1 — M: 2.
Nr. 25. **Jesienią**, kom. w 1 ak. Leopolda Swiderskiego. K: 3 — M: 4.
Nr. 26. **Kancelarya otwarta**, komedya w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 4 — M: 2.
Nr. 27. **Raptus**, kom. w 1 ak. Marc Michel i Labiche K: 1 — M: 5.
Nr. 28. **Straduję**, kom. w 1 ak. Zofii Mellerowej. K: 2 — M: 3 dz: 2.
Nr. 29. **Dwie teściowe**, kom. w 1 akcie z francusk. K: 3 — M: 4.
Nr. 30. **Kiedyż obiad?** krot. w 1 odsł. E. Lubowskiego. K: 4 — M: 6.

EMIGRACYA CHŁOPSKA

OBRAZ DRAMATYCZNY LUDOWY

W PIĘCIU AKTACH

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC 1823-188?

UWIEŃCZONY NAGRODĄ LUDOWĄ NA KONKURSIE KRAKOWSKIM 1876 R.

ZASTRZEGA SIĘ WOBEC SCEN PRAWA AUTORA

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

BERKELEY
LIBRARY
NIVERSITY OF
CALIFORNIA

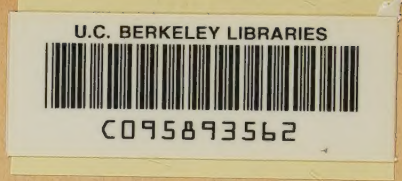

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

OSOBY:

TADEUSZ STARŻA, właściciel folwarku.
JULIUSZ, jego syn.
BENEDYKT CEPURA, wójt.
WERONIKA, jego żona.
JĘDRZEJ CZAPLA
ANTEK, syn jego
MATUS KUŚMIERZ
MATUSOWA
BASIA, ich córka
PAWEŁ KRUK
PAWŁOWA
BARTEK KOZICA
MACIEK WALCZAK
MAREK WALIGÓRA
SZYMEK KOSTUREK
WOJTEK PAPROTKA
KAŚKA WYŻRALONKA
} Włościanie.
SCHULTZE, agent tow. handlowego wywozu emigrantów.
MENDEL, arendarz.
RYFKE, jego żona.
LAJBELE, ich syn.
CHAIM
JANKEL
SZMUL
} Spekulanci galicyjscy.
DIKSON
WELLMERS
} Spekulańci amerykańscy.
SNAKE, fotograf.
ADJUNKT sądu powiatowego.
SROCZKA, pisarz gromadzki.
KONSTABL.
WŁOŚCIANIE. — WŁOŚCIANKI. — ŻOŁNIERZE. — INDYANIE. — MUZYKANCI. — MURZYNI. — ŻYDZI.

Rzecz, z wyjątkiem czwartego aktu, odbywającego się w Texas, dzieje się na wsi w Galicyi.

AKT I.

Teatr przedstawia izbę karczemną. — Po obu stronach wzdłuż sceny ciągną się ordynarne stoły i ławy na kozłach, jak zwykle po karczmach galicyjskich. — W głębi w kącie po prawej stronie od widzów, rodzaj klatki z łat, z otworem od frontu, a wejściem z boku (szynkfas). — W tylnej ścianie szafka i w niej flaszki z wódkami — na kasie wielkie blaszane garnce z pokrywami na wódkę, z boku beczka z piwem na legarze — po lewej w głębi ogromny komin z kapą, na którym płonie ogień. — Środek wolny, na prawo drzwi do alkierza.

SCENA PIERWSZA.

BENEDYKT, WERONIKA, JĘDRZEJ, PAWEŁ, PAWŁOWA, BŁAŻEK, BŁAŻKOWA, BARTEK, FLOREK, MACIEK, FRANEK, WOJTEK, SZYMEK, MENDEL, RYFKA, LAJBELE.

Pełniuteńka izba chłopów obojej płci. Gospodarze i Gospodynie siedzą grupami na ławach, za i przed stołami. — Przed każdą gromadką stoi flaszka z wódką i kieliszki. — Na przodzie po prawej stronie siedzi wójt Benedykt z żoną Weroniką, — po lewej stronie na rogu stołu, siedzi Maciek skrzypek z nogami spuszczonemi na ławę. — Obok niego basista z małemi basami wiej-

skiemi na ławie wspartemi. — Na przodzie przed muzykantami, stoi Bartek ubrany w płótniance jak drudzy, ale w niebieskiej, składanej czapie żołnierskiej, — pali fajkę porcelankę z odlewką na krótkim cybuchu. — Na środku izby kilka par parobków i dziewek, uszykowanych do tańca. — Mendel w klatce za szynkfasem. — Ryfka przy kominie. — Lejbel uwija się po izbie, roznosząc wódkę chłopom.

FRANEK Z KAŚKĄ *(na przodzie).*

Maciek, takiego mi graj! *(nuci oberka, którego muzykanci, schwyciwszy nutę, poczynają grać. Franek przed nimi stojąc, śpiewa):*

Siedzi zając pode krzakiem,
Nie poglądaj za wojakiem,
Nie poglądaj za kabatem,
Bo cię Kaśka skropię batem.

CHÓR

(powtarza ostatnie dwa wiersze, poczem tańczą jak walca wkółko; przetańczywszy, szykują się znowu przed muzyką).

KAŚKA *(śpiewa).*

Sikorecka wróbla nie chce,
Tam poglądam, kaj mi się chce,
Dyć ta baty to nie cuda,
Lepsy wojak, niźli duda.

CHÓR

(powtarza jak poprzednio i tańczy).

FRANEK *(stając przed muzyką).*

Czekajno Kaśka, kiedyś taka mądra, to ja ci inacej zaśpiewam. *(rzuca pieniądze muzykantom)* Maćku graj... chłopcy za mną!

BARTEK *(wysuwa się naprzód i staje między Maćkiem a Frankiem).*

Nie będzies ty ani tańcował, ani śpiewał. *(Do muzykantów ostro)* A wy, jak mu zagracie, to wam skrzypki i basy potłukę. Rozumiecie, ja to mówię, Bartek Kozica! ferštanden!

(Ruch między chłopami, wszyscy zbiegają się na środek i otaczają obydwóch zapaśników).

FRANEK *(groźnie do Bartka).*

Co mi ty mas braniać, kiej ja tu płacę, a nie ty!

BARTEK.

Ty płacis, ale ja będę rozkazował!

FRANEK.

Albo to prawda?! Cego chces odemnie?

BARTEK.

To nie wymyślaj, sakramencki drabie, na cesarskich wojaków.

FRANEK.

A tobie co do wojaków, kiejś ty nie wojak, boś już wysłużył.

BARTEK.

Choć wysłużyłem, alem był wojakiem; a ty jesteś byle jaki cywil.

WOJTEK *(wysuwając się naprzód).*

Ty sobie nie wycieraj gęby cywilami, bo i wójt też cywil, a służy najaśniejsemu cysazowi, nie prawda wójcie?

BENEDYKT *(pijany).*

Ha no juści tak prawda, bo jako jestem przysięgły do wierności w becyrku.

BARTEK *(z pogardą).*

Taka przysięga to jest nic, bo nie na cysarską służbę. Ten tylko co na hopwachu przysięga na fahnę jest cysarski, jako ja, a wójt przysięgał cywilom, to służy ciarachom, bo chodzi na radę powiatową, co ją sobie panowie zrobili.

BENEDYKT.

Rada, niby powiatowa... widzicie.. rada, to jest tez cysarski urząd.

BARTEK.

Jako żywo nie prawda; bo nad radą, choćby i w Tarnowie, niema cysarskiego orła, jeno jakasik byle jaka kawka; a kto chodzi na radę, to się ciarachom zaprzedaje, bo to jest taki wymysł, zeby z chłopów ściągać pieniądze, a sobie kabzę nabijać. Wszyscyście złodzieje, co z radą trzymacie.

JĘDRZEJ.

Stul gębę, porwisiu, a nie wygaduj na radę, bo wnetbyś posedł do hereštu.

BARTEK *(zuchwale).*

Kogo ty przezywasz porwisiem? du ferfluchte!

JĘDRZEJ *(śmiało).*

Ciebie! Odkąd cię dyabli z wojska przynieśli, niema we wsi spokoju! Nic nie robis, jeno pijes

za cudze, a jak ci kto nie chce płacić wódki, to mu odpowiadas, ze go spalis — a kto po wsi kradnie? nikt inny, tylko ty, złodzieju!

BARTEK *(zamierzając się).*

Kto złodziej! gadaj! kto złodziej!

JĘDRZEJ.

Ty, boś juz raz był w Tarnowie w inkwizycyje o złodziejstwo, a dwa razy o podpalenie, jeno cię puścili, bo nie było świadków, ale jak teraz kiej się dorobis przed przysięgłych, to ci się nie uda.

FRANEK.

A wójtowi nie odpowiadałeś, ze go spalis, jak cię tamtej niedzieli chciał hereśtować?

WOJTEK.

A kto dziś w nocy ukradł kozuch fornalowi we dworze?

BARTEK *(zmieszany).*

Ja go ta nie wziął.

JĘDRZEJ.

Wyda się to wszetki i posiedzis sobie kilka roków.

BARTEK *(wyłamując nogę ze stołka).*

Posiedzę, ale za to jak ciebie uśmiercę *(rzuca się na Jędrzeja, ale Wojtek, Franek i inni parobcy rozbrajają go).* Puscajcie mię, zdrajcy, bo wam caluśką wieś podkurzę!

JĘDRZEJ.

Słysycie! wszyscy będziecie świadczyć: hereśtujcie go, wójcie, bo was zaskarzę do sądu.

BENEDYKT.

Ja go hereśtować nie będę, bo mię najpierwej spali.

MACIEK *(kładzie skrzypki i zeskakuje ze stołu).*

Chłopcy, nie dajmy Bartka! *(Powszechne zamieszanie, jedni chcą brać, drudzy bronią Bartka).*

MENDEL *(krzyczy za szynkwasem z całej siły).*

Ziandary! gewałt! Ziandary! *(Na te słowa tumult ustaje, chłopi rozskakują się na dwie strony, spoglądając z obawą ku drzwiom).*

MENDEL *(wychodzi z za szynkfasu i staje w środku między chłopami).*

Ny! co to jest! poco taki harmider. To ścięście, ze ziandary pośli sobie kole karcmy, bo jakby tu przychodzili, to wszystkich zabraliby do hereśtu!

BARTEK *(rozjadły).*

Cego się wrazas, zydzie, cy i ty chces oberwać?

MENDEL *(cicho do Bartka).*

Głupiś, nie widzis to, ze tobie dospomagam, słysałeś, co gadali o kozuchu? przinieś go wiecór, to się pogodzimy. *(Bartek traci rezon).* Moi kochani gospodarze, na co taki krzyki? Mało to macie kłopot ze dworem o pastwisko? Mało to

biedy z polakami, co zasiadają w sejmie we Lwowie, zeby na was podatki wimyślić, zeby ślachta nic nie płaciła, a wy jesce sobie kłócicie? Aj waj, jakie wy głupie!

KILKU CHŁOPÓW.

A no juści prawda.

MENDEL.

Pogódźcie się. Ty, Franek, będzies sobie tańcował z Kaśką, a ty, Bartek, będzies pił za darmo, bo ja stawiam mój garniec sznaps. *(do syna)* Lajbele, bring a garnetz schnaps *(Lajbel przynosi — Mendel nalewa)* Na zdrowie i ścieście gospodarżów! *(do Benedykta)* Napijcie się, wójcie, do Bartka na zgodę.

BENEDYKT.

Nie będę pił do niego, bo jako ja wójt, a on scekał, ze mię spali.

MENDEL.

Aj waj! ktoby jemu wierzył... on tylko tak śpasuje, zeby mu wódki kupić *(klepie Bartka po ramieniu)*. To dobry chłop, tylko ma taki złodziejski pisk. Ny, wójcie, moja wódka będzie tego ognia zagasić. *(Nalewa i podaje Benedyktowi)* Pijcie, wójcie, ja wasz przyjaciel!

BENEDYKT.

Ha no, kiej mówicie, że ino przez myśli pyskował, to pić będę *(spluwa)*; do ciebie Bartku *(pije)*.

BARTEK.

Pijcie zdrowo, stary pijaku *(odbiera kieliszek)* do kogóż pić?

WERONIKA.

A mnie to nie dacie? pij do mnie *(odbiera kieliszek i śpiewa pijana):*

Gozołecka cysta — cysta i ognista,
Póki będę zyła, to ją będę piła.

MENDEL.

Dobrze mówicie, wójcina, co wypijecie, to wasze, tego wam ani pan, ani ksiądz nie odbierze. *(Do żony)* Rifke, schreib zwei garnetz schnaps auf den wojt, er ist besoffen, wird dues nisch merken. *(Do chłopów)* Ny... a teraz sobie potańcujcie! Graj Wojtek *(słychać trąbkę pocztową).*

FRANEK.

Pocta przysła z kolei, moze Matus jest, bo miał się dziś zabrać z Dębice.

BENEDYKT.

Matus... jako niby ze Lwowa — ze sejmu... pójdźwa do niego. *(Wychodzą gromadnie — Jędrzeja idącego na ostatku zatrzymuje Mendel).*

SCENA DRUGA.

MENDEL, JĘDRZEJ, LAJBEL, RYFKA.

(Lajbel sprząta — Ryfka zapisuje chłopskie długi kredą na szafie).

MENDEL.

Czekajcie Jędrzeju, mam coś powiedzieć *(zapala fajkę).* A co będziecie pić — sznaps, albo arak?

JĘDRZEJ.

Dyć o tem dobrze wiecie, że ja nie piję ani wódki, ani haraku, bom przysięgał.

MENDEL *(siada przy nim).*

To wielkie głupstwo zrobiliście, bo czem się biedny człowiek skrzepi przy ciężkiej pracy?

JĘDRZEJ.

Skorom przysięgał, to pić nie będę!

MENDEL.

A wsyćko z namowy tego zdrajcy księdza, co wam tak kazał, żeby jemu więcej zostało, jak będziecie dawali na msę za wasą nieboscką.

JĘDRZEJ *(zrywa się).*

Jeno mi na dobrodzieja nic nie gadajcie, bo ja katolik, a wy zyd — to se pilnujcie wasego rabina! *(chce iść).*

MENDEL *(przytrzymując go za połę).*

Oj! waj! cego się gniewacie? ja tylko tak mówiłem, jak ludzie gadają. Teraz, mój kochany, i chłop zmądrzał, to się nie da księdzowi tak tumanić jak dawniej, ksiądz trzyma zawdy ze dworem, albo z swoją kiesenią *(Jędrzej znowu się zrywa — Mendel go przytrzymuje).* No, jus nie będe gadał — ale wierzcie mi, ze ja chociaz zyd, to ja lepsy wasz przyjaciel, jak probosc.

JĘDRZEJ.

A ja wam mówię, Mendlu...

MENDEL *(przerywając).*

No, cicho, już nic nie mówię. Napijcie się piwa: Lajbele, gieb a zajdel bier — Ryfke schreib uf den wójt *(Lajbuś podaje piwo).* Chciałem was pitać, cy wy zenicie wasego Jantka z Matusową Baśką?

JĘDRZEJ.

Jakze będe zenił, skoro mu jej nie chcą dać?

MENDEL.

A dyć miały być zrękawiny, jak wróci z manebrów — bez coz nie przystają?

JĘDRZEJ.

Przystajali kiej miałem seść morgów gruntu i łąkę, ale jakeście mi zagrabili trzy morgi, to ani słuchać nie chcą, wszyćko bez was!

MENDEL *(zrywa się).*

Co ty gadas? ja ci grunt zagrabił? kikste? zebyś ty taki zdrów był, jak to prawda. To Jankiel sprzedał grunt za wasz weksel.

JĘDRZEJ.

Albo ja to od Jankla pożycał — przeciez od was, wyście mieli mój weksel.

MENDEL.

Mój Jędryk! jaki ty niemądry, miejze wyrozumienie! Ja biłem Janklowi winien pieniądze — un mnie skarzył do sąd — to ja nie mając pieniędzy, dawałem jemu ten weksel na zastaw — a ten galgan poszachrował z winkelschreiberem

i zrobili egzekucye. Co ja go naprosił, aj waj! nic nie pomagało. To juz sąd taki niesprawiedliwy. Gniewajcie się na Jankla, na sąd, ale nie na mnie.

JĘDRZEJ.

A kto ma mój grunt, cy wy, cy Jankiel?

MENDEL.

Nu, ja umyślnie licytowałem, zeby tego galgana Jankla do wsi nie puścić, a wy zamiast mnie dziękować, jesce się gniewacie.

JĘDRZEJ.

Mój Boże! pozycyłem od was sześćdziesiąt papierków na spłackę dla brata, kiej wyjeżdzał do Hameryki. Półtora roku jesce niema, a wy jak wzieliście dopisywać procenta, rachować, a zmieniać weksle, takeście wyprowadzili na dwa sta i wydarliście mi połowę gruntu. Tak wszyscy kapiejemy, a za piętnaście lat, to juz ani jednego gospodarza we wsi nie będzie, jeno wszyćkie grunta przejdą do zydów.

MENDEL.

Żyd! żyd! a co to żyd nie taki człowiek, jak katolik? Widzicie Jędrzeju, teraz ja mógłbym się także na was gniewać, że wymiślacie na żydów.

JĘDRZEJ.

Wymyślam — ale nie na wszystkich, jeno na takich, co u nas w miasteczkach i po wsiach siedzą, a naród gubią.

MENDEL.

Głupstwo — wszędzie są jednakich.

JĘDRZEJ.

Abo to prawda. Cóż ja to ludzi nie znam? Nie bywałem to po świecie i w Krakowie, i w Lublinie, i w Częstochowie, a nawet w samej Warszawie. Ba! Żydzi tam inaksi — pracują jak drudzy — spekulują, ale nie cudzą krzywdą — dorabiają się grosa, ale ludzi na dziadów nie wyprowadzają, a nie tylo, że katolikowi dadzą przy sobie zarobić, ale go nawet od katolika nie odróżni. — A wy co? rozpajacie naród — cyganicie na wsyskie boki, a zbogacacie się wydzierstwem i osukaństwem.

MENDEL.

Ot głupstwa gadacie, napijcie się, to wam będzie na zdrowie; *(woła)* Lejbele!

JĘDRZEJ.

Nie będe pić, bo mi się widzi, ze to piwo jakobym truciznę pił. — A z jakiej racyi kazaliście mi sekurować dom? cy na to, zeby mię znowu obedrzyć?

MENDEL.

Nu — miałem gospodarstwo w zastawie, a jakby się dom spalił?

JĘDRZEJ.

A czemuż sekuracyę u siebie trzymacie?

MENDEL.

Boś nie ty zapłacił, tylko ja — jesceś mi winien 22 ryńskie. Idzie wam o ten grunt — to sobie odkupicie.

JĘDRZEJ.

Wy wiecie dobrze, że pieniędzy nie mam, to sobie jesce ze mnie przedrwiwacie, ale jest jesce Pan Bóg na niebie, to wam zapłaci za moją krzywdę.

MENDEL.

Na co ma płacić? Słuchajcie no, Jędrzeju, ja mam dla was bardzo dobry interes, co wam wszystkie biedy wynagrodzi.

JĘDRZEJ.

Nie chcę ja tam z wami zadnego interesu.

MENDEL.

Słuchajcie tylko. Mój szwagier, nu, ten Icek z Dębicy, nastręczył mi jednego bogatego Niemca, on tu dziś przyjedzie, zrobimy z nim fajny interes.

JĘDRZEJ.

To go róbcie sami — przezemnie się obejdzie.

MENDEL.

Nu, ja tak miślałem — ale jakem ujrzał, zeście tak sturbowany, a na mnie gniewacie się niesprawiedliwie o ten grunt — to chcę wam dać zarobić.

JĘDRZEJ.

A cóż ja wam mogę poradzić?

MENDEL.

Wy macie ufanie u gromady, jak co powiecie, to wam wierzą, wy możecie im tego gadać, co

ja nie mogę — wy będziecie pomagać do ten geszeft z Niemcem, on będzie płacić, to się podzielimy.

JĘDRZEJ.

Ale jak to będzie jaki nieuczciwy interes, to nie myślcie, żebym wam dopomagał.

MENDEL.

Ej, cy ja was to nie znam, zeście uczciwy człowiek, jakby to był jaki szwindel, tobym wam nie wspomniał. Nu! przydźcie tu za godzinę, to wam wszystko opowiem.

JĘDRZEJ.

Przyjdę, ale mi się to jakoś nie zdaje. — Bywajcie zdrowi, Mendlu. *(odchodzi).*

SCENA TRZECIA.

MENDEL, RYFKA, LAJBUŚ.

RYFKA.

Na co ty głupiego goja bierzesz do interes?

MENDEL.

Co mąż robi, to żone nic do tego.

LAJBEL.

Tatele, gojowi nie trzeba dać zarobek — tylkie wtedy, jeżeli Żyd przy tem tysiąc procent zarobi na goju.

MENDEL.

Dobrze gadasz, *hast a jüdischen kopf, Lajbele* — ale ty nie będziesz uczyć rozum twojego tate.

Ty tylko patrzaj, jak ja robię i ucz się robić gescheft, a jak zostaniesz arendarzem, to będziesz robić, jak ty chcesz.

LAJBEL.

Ja chcę być do kompanii w ten gescheft z Jędrzejem.

MENDEL.

A wiele masz pieniędzy?

LAJBEL.

Draj und fünfzig rajnisch.

MENDEL.

Nu, dawaj.

LAJBEL.

Będę dać, ale powiedz przódy, jaki to gescheft.

MENDEL *(ucieszony).*

Rifke! kikste! jakie to mądry szajgec — on swojego tate nie wierzy. On będzie miał całe wieś, on tu będzie dziedzic.

LAJBEL *(nadymając się).*

Joj tatele! Wsistkich chalup i gruntów i lasów będzie nasie — zidowskie!

RYFKA.

Wszystkich gojmów powipędzasz, Lajbele.

LAJBEL.

Nie, mame — oni będą zostać.

RYFKA.

Wie hajst! a na co tobie gojów?

LAJBEL.

One będą mnie robić pańszczyznę — oni będą u mnie koniów, Lastvieh!

RYFKA *(zadziwiona).*

Aj, waj, aj! waj, *dus ist a kopf wie a Majlech Schlojme!*

MENDEL *(zachwycony).*

Wie a Majlech Schlojme!

LAJBEL.

Ny tate! ja sobie tak miszlę. My mieli Kaanan, tam my wsistkie miasty i ziemie i bidlo zabierali Kanaanitom. Nu, tam teraz panują Terken, a Izrael nie ma ani wojsko, ani okrętów, żeby im odbierać. Adonaj nas kocha, to nam za Kanaan daje Galicyę. Zid wojsko nie ma, ale ma *Geld* — to lepsze jak wojsko. — My za ten *Geld* będziemy Galicyanom zabrać i wsiów, i miastów, i gruntów, i lasów, jak Kanaanitom i tu jest dla nas *das gelobte Land.*

RYFKA.

Aj! waj! aj waj! On tak mądrze gada, *wie a Rabiner von Neu-Sandecz.*

MENDEL.

Hast Recht, Lajbele! już w Krakowie, we Lwowie, w Tarnowie, większa część domów nasze, w małe miasteczki wszistko nasze. Po wsiach mamy już dużo dworów i chłopskich gospo-

darstw — goje i resztę przehulają, przepiją. Trzeba, żeby nie mieli jeden dom, jeden mórg ziemi. I tak będzie, bo my mamy *Geld*, a oni *dałles*.

RYFKA *(nadsłuchując).*

Stille! ktoś idzie!

LAJBEL.

Nu, tate, ja idę do karbownika po gięsi, bo on u mnie pożyczal *zwaj Gilden*, a procent *drei;* on nie ma pieniędzy... niech daje gięsiów.

MENDEL.

A powiedz jemu, niech tobie dodaje miarkę owsa — on stoi przy ludziach kiedy młócą, to może panu wziąć.

LAJBEL.

On już mnie obiecał nie jedną, ale dwa miarki.

MENDEL *(zachwycony).*

A feine Jüngel!

RYFKA *(patrzy we drzwi).*

Der Preusse kümmt.

MENDEL.

Gaj uf Gościniec, a jak chłopi będą przyjść, to nam powiedz *(Ryfka i Lajbel odchodzą).*

SCENA CZWARTA.

MENDEL, *potem* SCHULTZE.

Ten głupi Prusak myśli, że mnie oszuka, a un i mojego Lajbele by nie oszukał.

SCHULTZE

(wchodzi w ubiorze podróżnym, okulary, broda duża rudawa, torba podróżna w ręku).

Morgen Herr Feinsilber — jak idzie?

MENDEL.

Morgen Herr Schultze — pan dopiero dziś przyjechał?

SCHULTZE.

Wczoraj nie mogłem jechać, ja miał *wichtige Geschäfte in Tarnow.* No, jak pan Feinsilber robi interes? czy dużo chlopi chcą do Ameryka emigrować?

MENDEL.

Hm, oniby wszystkie jechali, ale te co mają grunt, wagują się sprzedawać, a te co nic nie mają, to nie mają za co jechać. Tym, co mają grunt, trzeba pokazać amerykański *Geld, pures Gold* — to oni jechaliby, bo chłop jest bardzo chytry na pieniądze; a tych, co nie mają, to trzeba dawać vorschuss, a niech podpisują kontrakt, że w Ameryka będą odrabiali.

SCHULTZE.

Nie umiecie robić *Geschäft* z chlopem, tu trzeba wprowadzić nasz element. *Bei uns in Posen ist was anders.* Chłop polski nie może opierać się niemieckiej kulturze i emigruje całemi gromadami, a my kupujemy ich ziemię. Tam piasek, bagno, tu ziemia doskonala, tu miliony leżą w roli, a drugie miliony pod ziemią: nafta, węgiel, żelazo, wszystko czeka na pracowitą niemiecką

rękę, na niemiecką wytrwałość, niemiecki przemysł, niemiecki rozum, na nasz kultur; tu wszystko musi być nasze.

MENDEL *(patrzy na niego z szyderstwem).*

Ja! ja! sie haben Recht!

SCHULTZE.

Tutejsza barbarska, próżniacka, pijacka, zabobonna rasa musi ustąpić naszemu narodowi, który ma przeznaczenie rządzić światem. Slawenska rasa musi ustąpić precz, albo zginąć, bo to jest *der Kampf um Dasein.*

MENDEL.

Pan Schultze wielki niemiecki patriot, większy jak prinz-Bismarck, pan musi wiele zarobić przy ten *Transatlantische-Dampfer-Transport-Gesellschaft,* kiedy tak pracuje dla niemiecki element.

SCHULTZE.

Ja nie pracuję dla mnie, ja pracuję dla nasz *Kaiserthum,* dla nasz *Vaterland.*

MENDEL.

Nu, *Vaterland* dobry, ale *Geld* jeszcze lepszy.

SCHULTZE *(zagadując).*

Ale pan Feinsilber nic nie mówi, dlaczego zrobil zly interes?

MENDEL.

Mnie tu przeszkadza jeden chłop i ksiądz.

SCHULTZE.

Och, diese verdammte Pfaffen, ten czarny international, ich najprzód trzebą zgnieść, a jak świat będzie bezwyznaniowy, to nasz element zwycięży.

MENDEL.

Na co świat? na co element?! Pan Schultze da *Geld,* Mendel da sznaps i będzie wszystko jechać za morze, a najprzód trzeba dać *Geld* temu chłop, co tu drugich namawia, żeby nie jechali.

SCHULTZE.

Dać pieniądz, a jak mi nie oddadzą?

MENDEL.

Pan im nie będzie dać, tylko mnie, ja wielki niemiecki przyjaciel, ja sam jestem Niemiec, to mnie pan może wierzyć, że landsmana nie oszukam.

SCHULTZE.

Czy dużo trzeba na *vorschuss* dawać?

MENDEL.

Już ja pan Schultze będę wszistko powiedzieć, ale chodźmy do alkierza, bo tu chłopy idą, tam zrobimy nasz plan.

(Schultze i Mendel odchodzą do alkierza na prawo).

SCENA PIĄTA.

ANTEK I BASIA.

BASIA.

Poco ty mnie wiedzies do Mendla?

ANTEK.

A bo najlepiej radzić u zyda. No, jakoś myślis, będzie z nami?

BASIA.

Jakzeby było — jak ojcowie dozwolą, to się pozeniewa — a jak nie, to nie.

ANTEK.

Tatuś dozwalał, ale mu Lwów dojechał, ze teraz zdaje mu się, że wielki pan, a nie dozwala, bo mu macocha nie da.

BASIA.

Bo onaby rada, żeby się wszyćko, co mam po matusi jej dzieckom dostało, bez to zbrania i tatusia buntuje. Bez to mie nie chcą wydać ani za ciebie, ani za innego i pewnie się w panieństwie zestazeje *(płacze)*.

ANTEK.

Płacem nic nie skuras — jeno trzeba radzić.

BASIA.

Radź ze ty przecie, boś chłop.

(Mendel ukazuje się we drzwiach i słucha).

ANTEK.

Poradziłbym może, żebym wiedział jak, ale myślę, że im trza brewiternie powiedzić, że już nie chcę ani domu, ani gruntu, niech mi jeno dadzą dwie krowy, co się po twej matusi ostały, korale, przyodziewę, to cię pojmę.

BASIA.

Ej, oni tam przystaną, ale nic nie dadzą.

ANTEK.

Gadałem ci ja o tem ze Srocką, pisazem gromadzkim, co ci na wszyćkie strony umie wykręcać, kieby jadwokat. — On mi powiedział, ze wsyćko, co ci ostało po matusi, mozes wyprawować.

BASIA.

Ja się tam z tatusiem po sądach wodziła nie będę, — a jesce jakbym posła na udry, to mię macocha gotowa struć, albo zabić, bo to okrutnie zła baba.

ANTEK.

No, to już chyba łeb urwać, kiej niema nijakiej rady.

MENDEL *(zbliża się i staje między nimi).*

Jakto niema rady? Ja wam będę doradzić, moi kochani!

ANTEK *(z niedowierzaniem).*

Wy, Mendlu? a jakze wy będziecie nam radzić, kiej z macochą trzymacie?

MENDEL.

Głupiś! ja jej tylko przyświadcam, bo u mnie kupuje, ale z nią nie trzymam. *(Podaje wódkę Antkowi)* Napij się, Jantek, — napij się, Baśka, tak... Teraz wam poradzę... oto pamiętajcie, że dobra rada to się nazywa dobre słowo, a za dobre słowa trza mi wynagrodzić.

ANTEK.

Czemże ja wam wynagrodze, kiej pieniędzy nie mam.

MENDEL.

Nu, ja dam wam pieniądze, a ty mi zapises swoje gospodarstwo, co je mas wziąć po ojcu.

ANTEK.

A coby nam zostało, jakbym ja ci zapisał gospodarstwo?

MENDEL.

A cóż tobie po gospodarstwie, jak pojedzies z Baśką do Ameryki?

ANTEK *i* BASIA *(z zadziwieniem).*

Do Ameryki?

MENDEL.

Tam wam dadzą grunt na 20 lat spłacki i bidło i drzewo na dom; ot *(wyjmuje list)* mnie pisze mój szwagier z Ameryka, że wszyśtkie chłopy, co tu od nas pojechali ostali wielkiemi bogaczami.

ANTEK.

Ale jakże odchodzić starego tatusia, co tu sobie przezemnie nie dadzą nijakiej rady?

MENDEL.

O wa... a na co jemu rady, ty się dorobis, to i starego sprowadzis do siebie. Onby i tak skapiał. Tu przez te sejmy, rady powiatowe, sądy przysięgłe, podatki i cuszlagi wszyscy skapiejemy, kto może, niech umyka z Galicyi... No jakże, przystajecie?

ANTEK.

Cy ja wiem, mozeby i dobze było. Cóz Baśka?

BASIA.

Radźze ty, boś ty chłop... jak zrobis, tak będzie, ja nie mam na to głowy!

MENDEL *(prowadzi ich za stół i stawia wódkę i kieliszki).*

Nu, siedzcie tu sobie i popijajcie. Wy nie macie głowy, nu, to ja za was mam głowę. Jeżeli mi nie zechcesz zrobić zapisu, to mi das weksel. Jeden za te dobrą radę, a drugi za to, co ci dam pieniędzy na drogę: już my się pogodzimy. Otóż i cała gromada schodzi się tutaj *(idzie za szynkfas).*

SCENA SZOSTA.

DAWNI, BENEDYKT, WERONIKA, MATUS, MATUSOWA, PAWEŁ, PAWŁOWA, MAREK, MACIEK, BARTEK, SZYMEK, WOJTEK, KAŚKA, WŁOŚCIANIE, WŁOŚCIANKI.

PAWEŁ.

Gadajcież, Matusie, widzieliście się tam z nasym posłem we Lwowie?

BENEDYKT.

Halt! przecie o sechej gębie gadać nie będzie. Mendel, daj garniec wódki.

MENDEL *(przynosząc).*

A na kogo pisać?

BENEDYKT.

Jako jadący ze Lwowa Matus, za interesem tam będący, a gromada kazała mu się widzieć z nasym posłem — przeto niech gromada płaci. *(do chłopów)* Jakze? co?

KILKU.

Ha no juści tak!

MENDEL.

Ja napisę na was, wójcie, a wy sobie ściągajcie od gromady.

WERONIKA.

I tak dobrze — nalejcież, Mendlu, to się napiję jako wójcina naprzód do Matusa. *(Nalewają i częstują się po kolei, nie przerywając rozmowy).*

JĘDRZEJ.

No i cóz tam widzieliście we Lwowie?

MATUS.

Oj widziałem ci przeróżne rzeczy: najprzód trza wam wiedzieć, ze tych nasych włościańskich posłów, to ci na równi trzymają choćby z największymi panami. Zaprasa ci ich i pan namieśnik i pan marsałek. Jedzą ci zarówno z panami i ciastecka, i lody, i wselakie jadło i piją wino.

BARTEK.

To źle, bo juz będą z panami trzymali.

JĘDRZEJ.

Nie gadaj głupstw, owsem, to bardzo pięknie, ze ich usanują — znać, ze tam niema ani panów, ani chłopów, a ino posłowie.

PAWEŁ.

Ej, co nam do tego, jak się z niemi obchodzą; ale cy psecie mówiliście im, zeby się starali nam przycynić paświsk i lasów?

MAREK.

Cyście mówili, zeby się starali o skasowanie rad powiatowych, co tyla nam pieniędzy wyciągają, a niema z nich zadnego pozytku, jeno większe podatki?

MATUSOWA.

Toć przecie musieliście tez gadać i o tych skołach, co na nie tyla dajema przez potrzeby, bo cóż chłopu po škole: byle umiał wedle roli robić, to mu dosyć, a co tam po tych naukach.

WOJTEK.

Pewnie mówiliście, jako wam gromada kazała, zeby propinacya była na gromadę, ale nie na dwór, bo przecie panowie nie chodzą do karcmy i nie piją, tylko ludzie wsiowi, a kto pije, ten powinien mieć dochód z propinacyje.

BARTEK.

Warto było i o to prosić, zeby i te sądy przysięgłe znieśli, bo to jeno zajmuje cas przez potrzeby, a sądzą tak ostro, ze się nijak z pod nich wymignąć nie mozna.

MATUS.

A dy mi dajcie odetchnąć, bo pytacie i pytacie, jaz się we łbie przewraca. — Słuchajciez.

ŚPIEW.

I.

Skorom jeno wylazł z masyny we Lwowie,
Idę prosto na sejm — pytam: kaj posłowie?
Włażę na galaryą do okrutnej sali,
Kędy to na ławach wsyscy zasiadali:
Jadwokaty, księża, panowie i chłopy
Była ich tam kupa — najmniej ze dwie kopy,
Cosik tam gadali — cosik tam radzili...
Lecz ja na to głupi — nie wiem, moi mili.

CHÓR.

A pocoście tam Matusie, pocoście jechali
Kiedyście jeno słuchali, a nie zmiarkowali?

MATUS.

II.

Dopiero jak wysła caluśka gromada,
Tak ci ja im z góry — na nic taka rada.
Lepiej o tem radźcie, by nie płacić szkoły,
Bo nam dyabli po niej, a chłop straśnie goły,
A nas poseł mówi: Skół, bracie, zamało,
Toćby drugie tyla jesce nam się zdało.
Będziemy ich więcej jesce fundowali,
Jam przecył — a wsyscy ze mnie się wyśmiali.

CHÓR.

A pocoście tam Matusie, pocoście jechali,
Kiedyście nic nie wskórali, jesce z was się śmiali.

MATUS.

III.

Więc prawię im znowu, ze duzo hałasów
Między gromadami skróś paświsk i lasów.
A on ci mi gada — na to rady niéma,
Co komu dał uząd, niech se kuzden trzyma.
Mówię znów o drogi — a on na to rzece,
Toć po dobrej drodze lepiej jechać, cłece,
Zasanujes wozu i zajedzies dalej.
Jam przecył — a wszyscy ze mnie się wyśmiali.

CHÓR.

A pocoście tam Matusie, pocoście jechali,
Kiedyście nic nie wskórali — jesce się z was śmiali.

MATUS.

Wrescie ja go prosę — niby od gromady,
Zeby pokasować powiatowe rady,
Że pozytku mało, a kostują duzo,
Że ciarachy w radach lada jako służą.
A on znów: moze wy i racyą macie,
Ale się to z czasem poprawi, mój bracie.
Toć przecie nie razem Kraków zbudowali —
Jam przecył — a wszyscy ze mnie się wyśmiali.

CHÓR.

A pocozeście, Matusie, pocoście jechali,
Kiedyście nic nie wskórali — jesce się z was śmiali.

BARTEK.

To się tam z was jakoś setnie wyśmiewali, Matusie.

MATUS.

Ha no moi ludzie, kiej to takie študery. Prawią: nic nie rozumiecie, Matusie. My się tu zjechali, zeby radzić wedle dobra kraju. Jak panowie uradzą coś sprawiedliwie, to nie mozemy im przecyć, bo bylibyśmy źle zycącymi krajowi. Trzeba tak radzić, zeby wszyćkim było dobrze i nam i panom.

BARTEK.

Ha! bo się ciarachom zaprzedali i tyla.

JĘDRZEJ.

Nie baj baju. Jeśli kto myśli uczciwie i radzi dobrze, to u ciebie nazywa się zaprzedany. Oto

dziękujmy Panu Bogu, ze Duchem Świętym nasych włościańskich posłów oświecił — ze im dał poznać, co dla nasego dobra potrzeba. Niech im Pan Jezus błogosławi na wsyćkiem!

MATUS.

Ja to znowu, kiebym dziesięć lat zasiadał w sejmie, tobym się ośmić nie dał, zeby mi panowie świętemi słowami gadali, tobym z nimi nie głosował.

BENEDYKT.

Przeto nie trzeba na posłów wybierać mądrych chłopów — jeno najgłupsych, bo taki nicemu nie zrozumi, a będzie się zawdy sprzeciwiał.

MENDEL.

Dobrze macie, wójcie, napijcie się — ja wam zawdy mówię ludzie, ze taki sejm do nicego.

MATUS.

Sprawiedliwie gadacie, Mendlu. — Juz sto razy lepsi w Hameryce, jak u nas.

JĘDRZEJ.

A wam zkąd znowu Hameryka do głowy przysła?

MATUS.

Ha bom dostał list od swojaka — co tam jest, prościusieńko przepłynięty bez moze.

KILKU.

Pokazcie jeno — pokazcie, Matusie!

MATUS *(wydobywa list z pugilaresu).*

O widzicie! prawdziwa hamerycka piecątka *(chłopi się cisną i przypatrują).* Cytał mi go jeden chłop, co tez w sejmie zasiada, alem nijako nie mógł zrozumieć.

BENEDYKT.

Trza posłać po pisarza gromadzkiego, to on temu podoła. Mendlu, posukajcie — no Srocki.

MENDEL.

Na co jemu sukać. — On zawdy waruje przed karczmą. *(woła oknem)* Srocka! do wójta!

SCENA SIODMA.

DAWNI I SROCZKA.

Obdarty pijak w połatanym surducie, złych butach i lichej czapce, nos trędowaty, włosy rozczochrane, zarośnięty.

SROCZKA.

Czego u dyabła chcecie — przecie dziś niedziela?

BENEDYKT.

Cy niedziela, cy nie niedziela, to jedność, bez to ci gromada płaci śterdzieści papierków na rok, zebyś cytał, jak trza.

MATUS *(dając list Sroczce).*

Przecytaj to pisanie!

BENEDYKT.

Wy mu nie rozkazujcie, bo jako ja wójt od

gromady wybrany, to ja mu będę rozkazował, a nie wy!

MATUS.

Skorom był we Lwowie od gromady, to ja mu tez mogę rozkazować. Cytaj, Srocka!

BENEDYKT.

Jako zywo nie, bom ja wójt! Cytaj, Srocka!

MATUS.

Pięknyście wójt, co jeno gorzołkę chlapiecie, a na książce nie znacie.

BENEDYKT.

Ale mam syna, co się ucy na profesora do gimnazyi w Tarnowie.

MATUS.

Będzie ci dopiero piękny profesor, co się u takiego pijaka chował.

MENDEL *(wchodząc między nich).*

Poco tego, zeby się dwa takie porządne gospodarze kłócili; *(daje wójtowi wódkę)* wy pijcie, a on niech cyta.

BENEDYKT.

I tak dobrze *(pije).* Cytaj Srocka!

MATUS.

Cytaj Srocka!

MENDEL.

Ny, Srocka, cytajcie, co wam oba każą.

SROCZKA *(czyta).*

»Nebraska — Kolobos — plotkunty«; *(objaśniając)* bo to po amerycku. *(Czyta)* »W samym początku mego listu pozdrawiam was, moi kumotrowie, i pytam, co was tez zatrzymuje w tej głupiej i mizernej Galicyi«.

BARTEK.

Ma *recht!* bo to najswajniejsy land w całej Austryje!

SROCZKA *(czyta).*

»Czemu, kochani, nie śpiesycie do Hameryki, coby was takie ścęście trefiło jako mnie, co mam więcej gruntu, anizeli ten pijak wójt Cepura *(wszyscy śmieją się)* i mam pięć krów i cztery konie i dziewięć świń, a kupiłem se 80 morgów gruntu, co je bez 10 lat będę spłacał, co mi mórg wylatuje sakumpak na 10 papierków wasych«.

MATUSOWA.

Rety Maryja! a dyć u nos za lada pioch trza dać najmniej setkę.

SROCZKA *(czyta).*

»Sprzedajciez, kochani kumostwo, te wase ladajakie gospodarstwa, a przyjezdzajcie tutok. Bo tu kuzden je mięso, a chodzi spasiony jak ciarach, albo ksiądz, a podatków ani 10 częśći takich niema, jak u nas. Przyjezdzajcie ajzybonem do Hamburka, a ztamtąd na sifie do Milorku, a ja tam do was naprzeciw wyjadę, jeno napiscie, kiedy przyjedziecie. Was kumoter

Jędrzej Paprocki z Górnych Łęgów«. *(Mówi)* A teraz dajcie mi wódki, bom ochrypł od tego czytania.

MATUS.

No i cóż wy, gospodarze, na to?

MENDEL.

Fajny interes!

BARTEK.

Ha no, najlepiej wyprzedajmy wsyćko i jako tu jesteśmy wsyscy razem — hala do Hameryki.

JĘDRZEJ.

A cóż ty będzies przedawoł, kiej nie mas nic?

MAREK.

Obejdzie się tam przez takich próżniaków!

BARTEK.

Ej, nie zacynajcie ze mną; wnetkibym wam dojechał!

JĘDRZEJ.

Jeździe se do tej Hameryki. Ja wolę ostać we wsi, kaj się urodziłem, kaj zył mój dziad i pradziad.

ANTEK.

Ej tatusiu, dyć tu do krzty skapiejecie. Juz wam i tak połowę gruntu Zydy zabrały. Nie lepiej to sprzedać reśtę, a scęścia probować w świecie? Dyć cy Galicya, cy Hameryka, to jedno, a wolę przecie tam, kaj o pieniądze łatwiej i nie trza się tyla narobić, co tutaj.

KILKU PAROBKÓW.

Dobrze gada!

JĘDRZEJ.

Ja nie wiem, co z was za ludzie, wy młodzi. Was nic nie obchodzi, ani wieś swoja, ani ojcowizna, ani kościół, kaj się chrzciłeś, ani święta religija, ani rodzina — jeno ciekacie za tym grosem, a chcielibyście go mieć przez pracy.

MATUSOWA.

Bajcie baja. A co nam się mordować z biedą i z panami, poco nam płacić wielkie podatki, że już i podoleć ani sposób — wolę wsyćko sprzedać i jechać za moze.

BENEDYKT.

Dobrze byłoby jechać — jeno ciekawa rzec, cy tez droga gorzołka w Hameryce?

BARTEK.

Juści tańsa jak tu, bo tam niema Mendla, zeby ludzi darł. *(Wszyscy śmieją się).*

MENDEL.

Kikste! jaki ty mądry; tam dlatego jest tanio, ze niema ani wojsko, ani akcyźników, ani rade powiatowe, ani cuszlagów; tam wszystkiego fraj.

PAWEŁ.

Nie cygańcie po próżnicy, bo jakby się obeszło przez wojska.

MENDEL.

Nie wierzycie mnie, niech i tak będzie, jest tu

taki, co tam był, to un wam powie... Widzieliście tego pana, co z pocztą przyjechał?

CHŁOPI *(potwierdzając).*

No...

MENDEL.

Nu, ja go będę wołać, to okrutny bogac. *(Woła przy drzwiach na lewo) Herr Schultze, kumen sie her!*

SCENA ÓSMA.

DAWNI I SCHULTZE.

SCHULTZE.

Was giebts neues?

MENDEL *(do chłopów).*

Ten pan to jest Prus, co się w Hameryka dorobił wielki majątek. Panie Schultze, oni pitają, jakich podatków placą w Hameryka?

SCHULTZE.

Tam są żadne podatki. *(Szmer zadziwienia między chłopami).*

MENDEL.

Oni pitają, wiele roków trzeba tam służyć przy wojsko?

SCHULTZE.

Tam nie będzie żaden człowiek do wojsko assentirowany. *(Szmer podziwienia).*

MATUS.

Z przeproszeniem w-go pana, a jakoz się przez wojska obejdzie, jeśli na ten przykład król chce wojować?

SCHULTZE.

W Ameryce jest żaden król.

BARTEK.

O ba! a któzby rządził — przecie musi być król.

SCHULTZE.

Tam regieruje prezydent, co cztery roki wybierany.

BENEDYKT.

A no to widzicie, rada powiatowa ządzi w Hameryce.

PAWEŁ.

Ej, to na nic, skoro ządzi ślachta.

SCHULTZE.

Tam niema szlachcic, bo tam wszystkie ludzie równe.

ANTEK.

A prosę pana, cy się tam mozna grosa dorobić?

SCHULTZE.

Ja przez pięć roki jechał do Ameryka — ja miał nic, a teraz tyle zarobię na czternaście dni *(wysypuje z trzosa kupę złotych pieniędzy).*

WSZYSCY CHŁOPI *(cisną się i przyglądają — Schultze szybko zgarnia).*

O rety! Marya!

BARTEK *(do siebie).*

He! kiejby tak mozna oskubać Miemca *(ciśnie się do stołu).*

SCHULTZE *(widząc to — do Bartka).*

Zdaleka — zdaleka! *(Chowa pieniądze).*

BARTEK.

Dyć im nie ukradnę!

SCHULTZE.

Ja nie mam strach przed złodziej — bo ja mam na złodziej amerykańska assekuracya *(wydobywa dwa rewolwery).* Kto chce mnie plündrować, to ja jemu pędzę sześć kule przez glowa. *(Bartek cofa się).*

MATUS.

A cy trza duzo płacić za kolej do Hameryki?

SCHULTZE.

Bagatel — ja im nastręcze *Schiff* za bardzo mały pieniądz.

ANTEK.

A jeśli kto ma zamało pieniędzy, albo nic, a chciałby jechać?

SCHULTZE.

Ja mu będę dać *fraj* wszystko, a on podpisuje kontrakt, że będzie dwa roki odrobić u farmera. Polowa pieniądze dla mnie, druga polowa do szparkassa — a po dwa roki kupi sobie grunt, koń i krowa.

BARTEK *(do siebie).*

Kieby jako tego Miemca obłuskać, to i ja tez pojechałbym do Hameryki — trza jako śpekulować. *(Ogląda się — wsuwa za stół, a widząc, że wszyscy zajęci są Schultzem, układa się na ławie i niby zasypia).*

SCHULTZE.

No, moi panowie — proszę rozmyślać, a jak kto chce jechać do Ameryka, to ja stoję do usług *(zabiera rewolwery).* Dobranoc, moi panowie *(odchodzi do alkierza).*

MATUS.

No i cóż?

KILKU CHŁOPÓW.

Ha no, trza jechać.

BENEDYKT.

Niech mi dobrze za grunt zapłaci, to i ja pojadę, chociem wójt.

WERONIKA.

I ja pojadę, a będę w Hameryce wielką panią *(zatacza się).*

ANTEK.

Tatusiu, przedajcie grunt, *(kłaniając się kapeluszem Matusom)* a wy mi dajcie Baśkę!

MATUSOWA.

W Hameryce ci damy, ale tu nie.

JĘDRZEJ.

Jedź sobie, jeśli chces, ale ja tutaj ostanę — wiem jak tu jest, a nie wiem jak tam. A ten

Miemiec mi się nie podoba, bo dużo gada i chce dawać pieniędzy, choć nas nie zna, i radzę wam, gospodarze, nie kwapcie się. Biedać tu, to prawda, podatki i ciężary okrutne — ale tu jesteście w swoim kraju, tu macie grunta i dobytek — a tam za mozem, między obcym narodem, mozecie zmarnieć.

KILKU CHŁOPÓW.

Prawda, prawda!

MENDEL *(ze złością).*

Cego wy ludzi bałamucicie — cego im bronicie sukać scęście? Widzieliście, jakich ślicznych pieniędzy dorobił się ten pan — a cy wam Jędrzej da aby grajcar?

BENEDYKT.

Sprawiedliwie gada!

PAWEŁ.

A potem obiecuje nas tanio zawieść do Hameryki, a nawet i za darmo tych, co pieniędzy nie mają.

JĘDRZEJ.

Moi ludzie, miejcież rozum — przecie on wam ani brat, ani swat, za cózby wam świadcył, jakby nie miał jakiejsik grubej spekulacyje?

(Ściemnia się zwolna).

MENDEL *(do siebie).*

Będzies ty inacej gadał *(wybiega do alkierza).*

ANTEK.

Ej tatusiu, coby miał za śpekulacyą — dobry cłowiek i tyla.

JĘDRZEJ.

Siedź cicho, kiedyś młody i głupi; kto chce jechać, niech jedzie, ale ja się ztąd nie rusę i wam nie radzę.

MATUS.

Ha no, trzeba pomyśleć — pójdźwa do domu, bo juz noc, a jutro zrobimy radę.

MATUSOWA.

Tak mi ta Hameryka zajechała do głowy, ze juz tu wysiedzieć nie mogę.

BENEDYKT.

Jabym jesce posiedział, zeby kto postawił gorzołki *(nikt się nie odzywa)*. A no, Srocka, prowadź mię, boś ty pisarz, a ja wójt. Pójdźwa.

(Wszyscy wychodzą — Jędrzej na ostatku — Mendel zatrzymuje go przy drzwiach).

SCENA DZIEWIĄTA.

JĘDRZEJ, MENDEL, *potem* SCHULTZE. — BARTEK *ukryty za stołem.*

MENDEL.

Cekajcie, Jędrzeju — ten pan z Ameryka ma do was interes *(odchodzi)*.

JĘDRZEJ.

Co on moze chcieć odemnie? pewnie mu Mendel nagadał, ze się sprzeciwiam temu, zeby ludzie do Hameryki nie jechali. Widno obaj ze sobą trzymają, Zyd z Miemcem.

BARTEK *(do siebie).*

Ciekawa rzec, co oni tu będą gadali?

SCHULTZE *(wchodząc).*

Oni się nazywają Andreas Czapla?

JĘDRZEJ.

Ja — albo co?

SCHULTZE.

Czy mają brata w Ameryka?

JĘDRZEJ.

A mam, co pojechoł będzie rok na ś-ty Jan.

SCHULTZE *(do siebie).*

Na święty Jan — *das aberglaubische Gesindel. (Głośno)* Jak jego imię?

JĘDRZEJ.

Marcin Capla.

SCHULTZE *(patrząc do pugilaresu).*

Ja... richtig... Martin... No, ja mam dla nich dobry interes. Brat ich ma piękne gospodarstwo — w ten rok za kukurutz i schwein wziął sześć sto dollars, to mnie dał sto dwadzieścia, żeby im oddać.

JĘDRZEJ.

Jakto? mnie? Marcin dał panu?

(Mendel co chwila pokazuje się we drzwiach alkierza).

SCHULTZE.

No ja! przecie moje nie dalbym. *(Wyjmuje*

sakiewkę) Tu jest 12 sztuk po 10 dollars, to jest dwa sta ośmdziesiąt gulden *oesterreichische währung.*

JĘDRZEJ *(z radością).*

Dla mnie tyla pieniędzy?

BARTEK *(do siebie).*

Głupia bestya, jesce się pyta, cy dla niego? Mnie ta nikt nie da i sam se musę brać.

JĘDRZEJ *(odbierając pieniądze).*

Bóg im zapłać. — Niechze Marcinowi Pan Bóg nagrodzi. Teraz będę mógł odkupić grunt od Mendla. — O Boze! dziękuję ci.

SCHULTZE *(do siebie, z pogardą).*

O Bosche! dummes Vieh! *(Do Jędrzeja)* Gute nacht. *(Odchodzi na lewo do izby i drzwi zamyka za sobą).*

JĘDRZEJ *(nie mogąc przyjść do siebie z radości).*

A przeciez raz Bóg miłosierny mię poratował... Teraz i Matus prędzej odda Baśkę Jantkowi... Zebym nie trzymał tych pieniędzy w ręku, tobym myślał, ze śpię.

SCENA DZIESIĄTA.

JĘDRZEJ, MENDEL, BARTEK.

MENDEL.

No, rozmówiliście się z tym Miemcem? — Cy wam mówił o furmankę do Tarnowa? Co on chciał od was?

JĘDRZEJ.

A co wam tam do tego.

MENDEL.

Chcecie go jutro odwozić do Tarnowa, to wam da trzy papierki i myta.

JĘDRZEJ.

Ja nie pojadę, ale Jantka poślę.

MENDEL.

No, to posyłajcie, jeno jak świt, a teraz idźcie, bo będę zamikać.

JĘDRZEJ.

Dobranoc wam. *(Wychodzi).*

MENDEL *(zamyka za nim).*

Ani jedne słówko nie mówił o pieniądze. — Cekaj, będzie tobie dolarów. *(Odchodzi do swej izby na prawo).*

SCENA JEDENASTA.

BARTEK *(sam. — Muzyka. — Podnosi się ostrożnie z ławy).*

Niema nikogo. *(Skrada się ostrożnie pod drzwi Mendla i zagląda przez szparę).* Juz się Zydy do legowiska zabierają. *(Idzie na przód sceny).* A to ci dopiero spotkało scęście Jędrka... wartoby mu to zabrać, ale poco swego paskudować, kiej można u Miemca lepiej pozyskać. *(Podchodzi pode drzwi na lewo)* Cosik się chroboce. *(Zagląda przez dziurkę od klucza)* Widzicie jaki złodziej,

przykręca śrubą okiennicę. Musi to być probant, świadomy wsyćkiego. Dobryś, piscelety ogląda i kładzie wedle siebie. *(Podnosi się).* Znamci ja dobrze takie piscelety — nazywają się rebelbery. *(Idzie naprzód).* Co tu robić, drzwi zamknione, okiennice przyśrubowane — i rebelbery! Choćbym wlazł, to mię poczęstuje kulką. *(Namyśla się).* Tak będzie lepsi... podeprę okiennicę od pola drągiem, żeby nie wylazł, a drzwi przyśrubuję świderkiem do futryny, zeby nie otworzył, potem podpalę karcmisko i uwędzę obu, i Zyda i Miemca. *(Śrubuje drzwi).* Jakby tez bezkurcya usłysała, a palnęła do mnie beze drzwi.

SCENA DWUNASTA.

BARTEK I MENDEL.

MENDEL *(uchyla drzwi od alkierza, wpółrozebrany).* Ktoś tu jest...

BARTEK *(podnosząc się).* Juz fertig, teraz do kumina, kiebym jeno nie utknął na cem, bo strasna ćma *(maca).*

MENDEL *(poznawszy Bartka, przestraszony).* Aj waj, Bartek, cego on tu chce?

BARTEK *(posuwając się ostrożnie ku kominowi).* Miemiec się spali, ale pieniądze ostaną, bo złote, a jak będą ratowali, to juz ja je znajdę. *(Dochodzi do komina).* Aha, tutok *(maca)*; o, jesce ogień w spodku. *(Dmucha, węgle się żarzą).* Dobra moja. Węgiel zawdy lepsy od patycka,

bo zdala nie ujźry ognia. *(Śmieje się).* I Miemca i Zyda upiekę, to ci będzie bal. Jak podpalę od środka, to nie będzie nijakiej pośląki, to i przysięgli nic nie zrobią. Kieby mię jeno nikt nie ujźrał, jak będę wychodzić.

MENDEL *(do siebie).*

Aj waj! aj waj! ten ganew chce nas spalić! Jak krzyknę, to mnie zabije. Co tu robić... aha... *(Wybiega do swej izby i łomocze, jakby się kto dobijał do bramy).*

BARTEK *(spłoszony odskakuje od komina).*

O la Boga, cosik się tłuce. *(Biegnie ku oknu i przysiada do ziemi za stołem).*

MENDEL *(wychodzi ze świecą z swej izby, i woła głośno).*

Zaraz, zaraz! niech panowie ziandary pockają, zaraz otworzę. *(Wychodzi za drzwi główne i mówi za sceną)* Zaraz, zaraz!

BARTEK *(wyskakując z za stołu).*

A to ci dyabli przynieśli ziandarów, na nic sprawa! Dopóki są w sieni, trza umykać oknem *(wyskakuje przez okno).*

MENDEL *(wraca przerażony).*

Aj waj! juz go niema. Cekaj, ty złodzieju, juz ja tobie do kryminał wpakuję. *(Zamyka okiennicę).* Nu, mądry ty Bartek, ale Mendel mądrzejszy.

KONIEC AKTU I.

AKT II.

Teatr przedstawia plac we wsi przed kościołem. — Po lewej stronie widzów na samym przodzie karczma z wielkiemi wjezdnemi wrotami. — W głębi mur, otaczający kościół z furtką w środku. — Za murem kościół. — Z boku po lewej stronie trzy framugi w murze kościelnym, a w każdej wisi dzwon. — Za podniesieniem zasłony słychać w kościele organ i śpiewy. — Szymek dzwoni w mały dzwon; przez chwilę scena pusta.

SCENA PIERWSZA.

SZYMEK, *potem* ANTEK.

ANTEK *(w kapeluszu z biczem w ręku).*

Cóż ty tak dzwonis, Symku, dyć dziś nie święto.

SZYMEK.

Paweł dał na wotywę śpiewaną, na intencyą tych, co jadą do Hameryki.

ANTEK.

Odwoziłem Miemca do Tarnowa i bez dwa dni mię zatrzymał. Cy Matus tez jedzie?

SZYMEK.

Jakże nie — sprzedał grunta i wsyćko Mendlowi.

ANTEK.

A Baśka tez jedzie?

SZYMEK.

To jej się spytaj, bo ano wychodzi z kościoła *(odchodzi)*.

SCENA DRUGA.

ANTEK — BASIA.

BASIA *(ociera łzy)*.

Już nie mogę wytrzymać, tak mię zal ścisnął. *(Spostrzega Antka)* Juześ to wrócił, Jantku?

ANTEK.

A ino. Cegoz ty płaces?

BASIA.

Ej, bo wikary okrutnie załośliwe miał kazanie. Jakeś wziął prawić narodowi, że rzucają wieś, kaj się porodzili, że już nigdy nie wrócą z za moza i swoich nie ujźrą, tak mi się zrobiło markotno, żem musiała wyjść z kościoła.

ANTEK.

To już naprawdę jedziecie?

BASIA.

A no juści naprawdę — pięci gospodarzy jedzie i kilku parobków — mnie tez zabierają.

ANTEK.

A nie mogliby cię ostawić i za mnie wydać?

BASIA.

Kaj ta kaj, wcora o tem gadali, ale macocha ani słuchać nie chcieli, jeno raili tatusiowi, zeby mię dał za Bartka, bo on tez jedzie i chce tatusiowi dospomagać do roboty w Hameryce.

ANTEK.

O Najświętsa Panienko — cóz tu robić?

BASIA.

Dyć mówiłeś, ze z nami pojedzies. Dyć ci Mendel obiecał dospomódz!

ANTEK.

Juścić prawda — ale jakze tatusia ostawić, kiej juz nie mogą wiela robić.

BASIA.

No, toć ci Mendel prawił, ze jak się dorobis grosa w Hameryce, to i tatusia zabierzes.

ANTEK.

Ha no to i dobrze, pójdę do Mendla, on mi da list Miemca, żeby mię zabrał, jeno nikomu nie spominaj, boby mię zdradzili, a Zyd nikomu nie powie.

BASIA.

Idźze, idź, a bac, zeby cię Mendel nie osukał. *(Antek biegnie do karczmy i we drzwiach potrąca się z Bartkiem wychodzącym z karczmy).*

BARTEK.

Cego ty mnie tyrpas — sakramencki bagaziu!

ANTEK.

A cóż ty myślisz, ze ja ci się boję? *(Stają ostro do siebie).*

BASIA *(do Antka).*

A dy idź prędzej, kaj mas iść.

ANTEK.

Cekaj, jesce ja ci dojadę!

BARTEK.

Albo ja tobie. *(Patrzą sobie w oczy, potem Antek wchodzi do karczmy — Bartek naprzód).*

SCENA TRZECIA.

BARTEK — BASIA.

BARTEK.

I cóz ty, jesce o nim myślis, kiej mi macocha obiecała, ze cię za mnie wyda?

BASIA.

Idźze se, idź, zbóju. Zebyś był caluśki ze złota, to cię nie chcę.

BARTEK.

Nie ty ządzis, ale ojcowie; jako będą chcieli, tak będzie.

BASIA.

Będziemy widzieli.

BARTEK.

Ej, jak cię parę razy dobrze zbiję, to będzies inacej gadać. *(Po chwili)* Co się mamy wadzić; — jak cię pojmę i dorobię w Hameryce pieniędzy, to ci kupię jedwabną suknię, taką, jak tarnowskie Zydówki na siabas nosą.

BASIA.

Nie chcę twoich sukien, złodzieju.

BARTEK *(przystępuje do niej i mówi cicho a groźno).*

Kiebym nie bacył, ze tyla ludzi w kościele, tobym cię za tego złodzieja uśmiercił!

BASIA *(uciekając).*

Ludzie! ratujcie!

BARTEK *(zastępując jej).*

Cego wrzescys? przeciez cię teraz bić nie będę. Idź, ale pamiętaj, ze za tego złodzieja ja twojemu sakramenckiemu Jantkowi dojadę.

BASIA.

Zanim mu dojedzies, to cię zawrą kaj w kryminale! *(Ucieka).*

BARTEK *(rozjuszony).*

W kryminale!... Chybabym nie był Bartkiem Kozicą, zebym się nie zemścił... Baśkę zbiję, a ich obu, i Jędrka i Jontka, styrom... A Jędrek ma pieniądze, co je dostał od Miemca — Miemiec umknął ze swojemi, *(grożąc ku chacie Jędrzeja)* ale ty mi nie umknies, a zdałyby się pieniądze na drogę.

SCENA CZWARTA.

MENDEL, ANTEK, BARTEK.

MENDEL *(wychodząc z karczmy, daje Antkowi list).*

Tylko nie zgub, a nikomu nie daj, tylko jemu — a śpies się, zebyś był na cas.

ANTEK.

Nie turbujcie się, Mendlu, zarazienko jadę *(odchodzi).*

MENDEL *(idąc za nim).*

Ja ci tu wsyćko dobrze poryktuję *(wracając naprzód).* Piętnaście morgów od Matusa, jedenaście od Skorupy, dziewięć od Cepury... moich mam szesnaście, to pięćdziesiąt jeden. Zeby jesce wykupić od Jędrka te ćtery morgi, co moich gruntów przedzielają — tobym miał jakby mały folwark dla mojego Lejbele.

BARTEK *(zachodząc z tyłu, uderza go po ramieniu).*

Cóż tak rachujesz, Mendlu?

MENDEL.

Co tobie do temu — rachuję, co mnie się podoba.

BARTEK.

A kajześ to wyprawił Jontka?

MENDEL *(niecierpliwie).*

Coś taki dzisiok ciekawy — pojechał, kaj mu trza.

BARTEK.

Kieby się kaj podzioł ten sakramencki Jontek, tobym był bardzo rad.

MENDEL *(chytrze).*

Ny, może on się podzieje.

BARTEK.

On wedle Baśki zachodzi, a jabym ją rad pojął.

MENDEL.

Owa! abo to Matus da córkę takiemu gałganowi, jak ty?

BARTEK.

Jak Matusowa zechce, to ją będę miał, *(z uśmiechem)* bo ona mi bardzo rada.

MENDEL.

Toć cała wieś wie, jakeście oboje odpustowali i jarmarcyli, jak ten głupi Matus jeździł do we Lwowie.

BARTEK.

Jak pojedziewa do Hameryki, to tam Matus musi przystać.

MENDEL.

A za cóz ty pojedzies, kiej pieniędzy nie mas?

BARTEK.

Ale mam śpekulacyą!...

MENDEL.

Moze taką, jak wtedy, coś chciał karcmę podpalić i Miemca okraść?

BARTEK *(przestraszony).*

Kto ci powiadał? *(Groźno)* Gadaj Zydzie!

MENDEL.

Nie wygrazuj, bo ja ci się nie boję. Kiejbym chciał cię zgubić, tobyś juz dawno gnił w kryminale, bo i ja, i Ryfke i Lajbele widzieli, jakeś węgle rozdmuchiwał. *(Uspokajając go)* Nie bój się, Bartek, ja twój przyjaciel, ja będę tobie dopomagać. Wyprawimy Jontka za moze i Jędrka, a juz oni tam zejdą na dziadów. A stary najgorsy, bo i sam nie jedzie i drugich odmawia.

BARTEK.

Nie pojedzie on ci teraz, skoro ma tyla pieniędzy.

MENDEL *(strapiony).*

Jakich pieniędzy?

BARTEK.

Nie udawaj, stary cyganie, dyć widziałeś, jak mu Miemiec dawał.

MENDEL.

Nu, kiedy wiesz, to nikomu nie gadaj; *(chytrze)* ludzie nie wiedzą, że Jędrek ma pieniądze, bo się tai, skoro je schował tam, *(wskazuje chatę)* pod kamień pod kuminem. *(Kusząco)* Za takie pieniądze, to nie do Hameryki, aleby na kraj świata zajechał. *(Po chwili — obojętnie)* Zeby go tak kto okradł i uciekł za moze, toby mu nic nie zrobili, bo w Hameryka niema ani ziandarów, ani sędziów, ani kryminału.

BARTEK.

Coz mię ty niewiaro tak kusis? moze mi ty stois na zdradzie?

MENDEL.

Widzis, ja się boję o mój grunt — obiecywałem mu odprzedać, jak nie miał pieniędzy, a teraz ma... a nie miałby, żeby go kto okradł tak z przipadkiem — tobie przecie nie kazuję.

BARTEK.

Ktoby cię nie znał... toby cię kupił... Moze chces zebym ukradł, a tobie dał; gadaj prawdę, a nie, to pójdę.

MENDEL.

Słuchaj, Bartek, jakbyś jako dostał tych pieniędzy, to ja nic nie chcę, jesce ci zmienię, zeby cię kaj nie złapali, i dodam ci garniec wódki.

BARTEK.

Dyć ta o to nic... ale jakby się wydało?

MENDEL.

Głupiś — małoś nakradł, a wydało się?

BARTEK.

Prawda, ale ja się waguję, bo choćby i w nocy wleźć, to mogą usłyseć, a którędyz wlazę, kiej się zapierają od środka?

MENDEL.

Na co w nocy? w dzień lepiej, bo nie tak pilnują... a potem... kieby się na ten przykład chałupa spaliła, toby nawet nie szukał — bo myślałby, że się i pieniądze spaliły...

BARTEK.

Oj, na podpalacy teraz krucho... bo ci przysięgli, choć nijokiego dowodu niema — pakują na 10 i 20 lat.

MENDEL.

Nu, przysięgli to jest *Mordgericht* — to tez ktoby chciał taką sztukę dokazać, musi robić ostrożnie, żeby go nikt nie widział... od cego rozum?!

BARTEK.

Ej, Mendlu, wyście gorsi od samego dyabła, tak dobrze wszystko tłumaczycie.

MENDEL.

Trzeba tak robić, żeby wiedzieli, żeś był kajindziej, kiej się zapaliło. No, idź na bok, bo ludzie wychodzą z kościoła. *(Rozchodzą się).*

SCENA PIĄTA.

(Wszyscy włościanie z pierwszego aktu wychodzą tłumnie z kościoła. Bartek na przedzie po prawej, Mendel przed karczmą).

MATUS.

Fundowaliście, Pawle, wotywę, ale cemuście nie prosili wikarego, zeby o Hameryce nie gadał? Przez nijakiej racyje tak gadał do załości, ze jaze mi się zrobiło przeciwnie na wnątrzu.

MATUSOWA.

No, ksiądzu zazdrość, ze sam nie jedzie, to i drugich odmawia.

JĘDRZEJ.

Nie pletlibyście lada cego; jakby chciał, toby jechał.

BARTEK.

No juści, Jędrzej to z księdzem jedno trzydzieści. Wy też ludzi odmawiacie; tacyście jak ten pies, co lezy na sianie, sam nie je i krowie go nie da.

JĘDRZEJ.

Taki jak ty, to se wsędzie poradzi, bo do swojego rzemiosła nie potrzebuje warśtatu, byle miał dziesięć palców.

BARTEK.

Ej, Jędrzeju... starzyście, a nie macie Boga w sercu, jeno kuždemu dogadujecie. Mógłbym się do was porwać za te słowa, ale ze mam jechać na drugi koniec świata, to wam daruję, zebyśmy się w złości nie rozstajali.

MENDEL.

Dobrze masz, Bartek, nie gniewaj się z Jędrzejem, bo to uczciwy gospodarz — a żebyś znowu do jakiej okazyi nie przyszedł, to idź do Chaima, pod lasem, i powiedz mu, żeby mi przywiózł wódki z miasta na odpust. Nie mam kogo posłać... a jak wrócis, to ci za drogę dam pół kwarty.

BARTEK.

Mógłbyś posłać Lajbusia.

MENDEL.

Nu, on nie może iść, bo się ucy z belferem — nu, idź! idź!

BENEDYKT.

Nu, idźze idź, to se te półkworty oba wypijemy.

BARTEK.

Ha no, kiej koniecnie, to pójdę, alebym się wolał ostać z wami. *(Odchodzi za chatę Jędrzeja).*

MENDEL *(cicho do Matusowej).*

Nu, Matusowa, zróbcie tak, jakem wam powiadał, będzie dobrze *(odchodzi do karczmy).*

SCENA SZÓSTA.

DAWNI *bez* BARTKA I MENDLA.

MATUSOWA.

Nie bałamućcie, ludzie, ale kto ma jechać, niech się ryktuje na drogę.

KAŚKA.

Ja już sprzedałam po matusi korale, krowę i przyodziewę i te dwa zagonki. Skorupa pisał, że tam żadna nie chodzi po chłopsku — musę se długie suknie na drogę kupić.

BENEDYKT.

A mnie zal, ze nie mogę z wami jechać, bo tam taki kraj, ze lada chłop moze nie tylko wójtem, ale jednorałem ostać.

MATUS.

Prawda, Mendel powiadał, że tam królem był krawiec.

WERONIKA.

A kiejze on miał cas królować, kiej sył przyodziewę?

MATUS.

Miał cas, bo lada komu nie robił, jeno samym królom.

MATUSOWA.

No, dosyć tego gadania, pójdźwa do dom. *(Ludzie rozchodzą się; do Jędrzeja)* Pockajcie no kstynkę, Jędrzeju, bo mam wam coś powiedzieć.

SCENA SIÓDMA.

MATUS, MATUSOWA, JĘDRZEJ.

JĘDRZEJ.

Cóż chcecie odemnie?

MATUSOWA.

I cóz wy, w zaden sposób nie dacie się namówić do jechania?

JĘDRZEJ.

Toć wiecie, ze ostaniemy z Jantkiem — pocóż pytacie.

MATUSOWA.

Ale to będzie nijakie gospodarstwo przez kobiety.

JĘDRZEJ.

Ja tez myślę Jantkowi posukać zony.

MATUSOWA.

Toć chcieliście, zeby pojął Baśkę, mybyśwa przeciwko temu nic nie mieli.

MATUS *(zdziwiony)*

A to znowu co?

MATUSOWA.

Cichoj-ze. *(Do Jędrzeja)* Wlec tam dziewuchę za moze, skoda jej.

JĘDRZEJ.

A kiedyście przecie nie chcieli dozwolić?

MATUSOWA.

Ja? kajze tam — to mój tak wydziwiał. Com mu się nagadała, ale jak się zaweźmie, a jesce łeb zaleje, to z nim nikt nie poradzi.

MATUS.

Coz ty znowu gados?

MATUSOWA *(do męża ostro).*

Cichoj-ze bądź, kiedy ja gadam. *(Do Jędrzeja)* No, jakże?

JĘDRZEJ.

Ej, nie zawracajcie mi głowy; raz przystajecie, to znowu nie, a nie chcecie jej wianować, choć po niebosce nietylko ruchomość, ale i grunt ostał.

MATUSOWA.

Grunt kupił Mendel, a nie dodał nam 200 reńskich, to będzie wiano dla Basi.

JĘDRZEJ.

Ha no, jeśli tak, to niechze Mendel da rewers, ze wypłaci.

MATUSOWA.

To pójdźwa do Mendla.

JĘDRZEJ.

Co wam tak pilno?

MATUSOWA.

Dyć jutro jedziewa — kiedyś będzie koniec?

JĘDRZEJ.

Ha no, kiej tak, to pójdźwa!

MATUSOWA.

Idźcież naprzód, my tam przyjdziewa. *(Jędrzej odchodzi do karczmy).*

MATUS.

Cożeś ty babo porobiła, cyś osalała, cy co?

MATUSOWA.

Już ja wiem, co robię. Najprzód nie będziewa płacić drogi za Baśkę, to nam się więcej jak sto papierków ostanie. A drugie Mendel obiecał, że zaświadcy, ze nam się niby od niego patrzy dwa sta papierków. Dałam mu zato dwadzieścia reńskich, a tak całe wiano Baśkowe nam ostanie.

MATUS.

Bój się Boga, przeciez to moje dziecko!

MATUSOWA.

Twoje, ale nie moje... a potem nie lepiej jej tu doma?... Będzie miała porządnego chłopa i jakie takie gospodarstwo. A jakbyśmy wzięli nas dobytek dzielić w Hameryce między troje dzieci, to zadneby wiele nie miało.

MATUS *(wahając się).*

Aleć wiano Baśkowe...

MATUSOWA.

Jak się dorobiewa bogactwa w Hameryce, to jej odeślewa, a jakbyśmy teraz dali, toby nam mogło braknąć za mozem.

MATUS *(przekonany).*

No, prawdę mas, juz to zawdy baba ma lepsą spekulacyją w głowie od chłopa.

MATUSOWA.

Widzis — a zawdy się ze mną spieras. *(Odchodzą do karczmy).*

SCENA ÓSMA.

BASIA *(sama z lewej strony).*

Jantek juz pewnie kaj o milę stąd — pozegnał się ze mną przy figurze. Jaki będzie temu koniec, jechać przez dozwoleństwa ojca... Stary się tu zmartwi, a ja temu winna, bom usłuchała tego zdrajcy Mendla i jescem Jantka namawiała. Potem jesce nas Pan Bóg pokarze ciężko, ześmy odjechali Jędrzeja. Najświętsza Panienko, doradźze mi tez, co ja mam robić, bom juz taka sturbowana, że ledwie żyję. Ciągną mię do tej Hameryki, a ja wolałabym tu ostać, kieby nie Jantek.

ŚPIEW.

I.

Cóz mam robić? czyli niechać,
Cy wędrować w dal?
Radam ostać — radam jechać,
Ale sercu żal.

Tam mię ciągną — tu mię trzyma,
Biedę mam dwojaką,
A nikogo w świecie niema,
Coby radził jako.

II.

Het za moze jechać trzeba,
Tatuś mię tam wiedzie,
Tam dostatek, dam dość chleba,
Tam mój Jantek jedzie.
Tu znów wioska, tu znów chatka,
Gdziem się urodziła,
Tutaj lezy moja matka,
Co mię tak tuliła.

III.

Pod krzyzykiem — biedna moja,
Lezy Matuś święta.
Sierotecka tylko twoja
O tobie pamięta.
Paciorecek zmówi za cię,
Na grób nosi kwiatki,
A wy mię ztąd zabieracie,
Od tej biednej matki.

SCENA DZIEWIĄTA.

BASIA I BARTEK.

BARTEK *(zmieszany, wypada szybko z za domu Jędrzeja, a spostrzegłszy Basię, zatrzymuje się).*

A ty cego za mną łazis?...

BASIA.

Ja za tobą?! odcep-ze się ode mnie.

BARTEK.

Chaim powiedział, ze gorzołkę przywiezie, ale dopiero pojutrze.

BASIA.

Cóz mi ty prawis o Chaimie, a cóz mi do niego?

BARTEK.

Bo ja byłem u Chaima, przecieześ widziała, jakem pędził od lasa!

BASIA.

Jam cię tam nie widziała, ani cię nie chcę widzieć *(chce odejść)*.

BARTEK *(zatrzymuje ją)*.

Musis przed Mendlem zaświadcyć, boby mi nie dał wódki.

BASIA.

Zaświadcę, jeno mię puść *(wyrywa się i ucieka)*.

BARTEK.

Zeby mi się jesce ten razicek udało! *(Odchodzi)*.

SCENA DZIESIĄTA.

MATUS, MATUSOWA, JĘDRZEJ, MENDEL.

MENDEL.

O nic się nie turbujcie, Jędrzeju, pojedziemy do Tarnowa i wsyćko się spise ucciwie. Ja tam mam jednego Zydka, bardzo ucciwego, co ma lepsy łeb, niz dziesięć adwokatów, on nawet od was pieniędzy nie weźmie.

MATUSOWA.

Ale dziś trza podpisać kwit, jako Jędrzej do nas niema nic, bośmy Basię wywianowali.

JĘDRZEJ.

To pójdźmy do dworu, albo na plebanią i tam się spise, a damy zaraz na zapowiedzi. *(Dym zaczyna buchać ze strzechy Jędrzeja. — Muzyka).*

MENDEL.

Na co do dworu? na co do księdza? Oni prawo nie znają, to jesce porobią jakie bałamuctwo. Juz mój pisarz tarnowski na to poradzi.

MATUSOWA.

Powinniście przecie postawić co na pocesne, za taki interes.

MATUS.

Choćby butelkę wina.

MENDEL.

Niech będzie i wino, niech ja stracę. *(Woła) Rifke, bring a bütele Wein.*

SCENA JEDENASTA.

DAWNI. — RYFKA I LAJBEL, *potem* CHŁOPI.

RYFKA *(wynosi butelkę wina i spostrzega dym, wydobywający się ze strzechy chaty Jędrzeja. — Krzyczy).*

Aj waj! Gewałt! Feier!

LAJBEL *(na krzyk matki wybiega z karczmy i krzyczy).*

Gore! gore!

MATUS, MATUSOWA, JĘDRZEJ.

Gdzie? co?

LAJBEL.

Jędrkowego domu gore! *Feier, gewałt!*

MENDEL, RYFKA.

Gore! gore!

MATUS, MATUSOWA *(razem z niemi).*

Gwałtu! gore! *(Uderzają w dzwony).*

JĘDRZEJ *(biegnie do domu i otwiera drzwi, lecz cofa się przed kłębami dymu).*

BARTEK *(wypadając z karczmy, krzyczy).*

Rany boskie — Jędrzeja dom gore, na pomoc, kto w Boga wierzy! Dalej za mną! *(Biegnie ku domowi).*

GROMADA WŁOŚCIAN *(wpada ze wszech stron z narzędziami ogniowemi i pędzą ku ogniowi — ze strzechy pokazują się płomienie — tumult, zamieszanie i krzyki).*

Gore! gore!

KONIEC AKTU II.

AKT III.

Ta sama dekoracya co w oddziale pierwszym, z tą różnicą, że miejsce chaty Jędrzeja zajmują zgliszcza, w pośrodku których sterczy nagi murowany komin, otoczony poopalanemi belkami.

SCENA PIERWSZA.

JĘDRZEJ, *potem* BASIA.

JĘDRZEJ *(siedzi na zgliszczach ze zwieszoną głową, pogrążony w myślach. — Pauza krótka).*

O mój mocny Boże, dopuściłeś na mnie nieszczęście... Jakto na świecie... Dopiero radowałem się, że mam pieniądze... że grunt odkupię, że syna ozenię. A tu naraz wszystko poszło z dymem. Szukałem onych dukatów, przekopałem gruzy... ani znaku. Nie było błogosławieństwa Bozego na tych hameryckich pieniądzach. Dobrze, ze chociaz bydło było w polu, i przyodziewy trochę zratowali, bo zeszedłbym na dziada. *(Pauza).* Oj ten Antek, ten Antek, gdzie on się podziewa, ani słychu o nim od wcoraj rano. Ha, niech się dzieje co chce. Ochwiaruję Ci, Panie, tę moję biedę, na Twoję chwałę. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi.

BASIA *(wchodzi z lewej strony, zbliża się wolno do Jędrzeja).*

Oj! Jędrzeju, Jędrzeju, zkądze tez taka bieda na was padła.

JĘDRZEJ.

Z woli Bożej, moje dziecko.

BASIA.

I nie miarkujecie tez, od cego się zapaliło?

JĘDRZEJ.

Kieby tak w nocy, tobym myślał, ze mię kto podpalił... ale w jasny dzień — przed południem... kiedy tyla ludzi chodziło... Ha, dopust Bozy!

BASIA.

Bardzo mi was zal, Jędrzeju.

JĘDRZEJ.

Moja Basiu, nie ja pierwsy — nie ostatni — gorzej, ze mi się kajś podział Jantek. Powiedz no mi dziecko, gdzie on jest?

BASIA *(zmieszana).*

Zkądze jabym wiedziała?...

JĘDRZEJ *(wstaje, bierze ją za rękę i naprzód sceny prowadzi; patrzy jej w oczy).*

Basiu, ty wiesz, bo on ci pewnie powiedział, kaj jedzie... milcys... Jeśli z turbacyi, ze cię ojcowie za niego wydać nie chcieli — to źle zrobił — bo właśnie przed samym niescęsnym ogniem Matusowie mię prosili, zeby cię Antek pojął.

BASIA *(zmieszana i uniesiona).*

Co wy mówicie?... o mój Boze!... jakies to scęście... Więc chcieli, zeby z nami jechał do Hameryki?... Jacyz oni dobrzy!...

JĘDRZEJ.

Nie — chcieli cię tu zostawić.

BASIA.

A on tam... trza zaraz pisać... zeby wrócił... bo... bo... to...

SCENA DRUGA.

MATUSOWA, MATUS, JĘDRZEJ, BASIA.

MATUSOWA *(ujrzawszy Basię — zgniewana).*

Tuś-to... to nie mozes się zbierać, kiedyśmy do drogi gotowi?... kolej nie będzie cekać.

JĘDRZEJ *(zdziwiony).*

Jakto, chcecie ją zabrać... przecie dawaliście ją za Jantka?

MATUS *(zmieszany).*

Widzicie, przez Baśki byłoby nam bardzo ciężko... moja ma dosyć kłopotów z dziećmi, a tu przecie trzeba i wedle krów...

MATUSOWA *(z gniewem).*

Ej, co się tam sprawias lada komu... ja wolę brewiternie powiedzieć. Pókiście mieli dom, to dobrze, ale spaliliście się do krzty, to nie myślę jej dawać na biedę — wyda się i w Hameryce. Pójdź Baśka!

BASIA.

O mój tatusiu, nie róbciez mi tego... ostawcie mię tu.

MATUS.

Jabym ci rad... ale widzis, matka.

MATUSOWA *(popychając ją).*

Idźze gagatku, bo ci pięścią pomogę!

JĘDRZEJ.

Ej, Matusowa, nie krzywdźcie sieroty, zeby was Pan Jezus nie pokarał na dzieciach.

MATUSOWA.

Stulze gębę, dziadu, a pilnuj siebie i nie wrazaj się do drugich. *(Chce odejść i spotyka się z nadchodzącymi).*

SCENA TRZECIA.

DAWNI, PAWŁOWIE, BŁAŻKOWIE, WOJTEK, SZYMEK, KAŚKA, FRANEK, MACIEK, FLOREK.

(Wszyscy ubrani po podróżnemu z pakunkami w rękach, jak do drogi).

PAWEŁ.

Cóz wy tak bałamucicie, Matusie? — Siadać, basta.

MATUSOWA.

Ej, bo mi ta zatracona dziewucha gawędzi.

CHŁOPI.

Pójdźwa, pójdźwa! *(Chcą wychodzić, lecz zatrzymuje ich Starża).*

SCENA CZWARTA.

DAWNI — STARŻA.

STARŻA.

Chwilkę, kochani sąsiedzi... Więc już odjeżdżacie?

PAWEŁ.

Za pół godzinki nas tu nie będzie.

STARŻA.

I nawet wam na myśl nie przyszło, żebyśmy się pożegnali?

MATUSOWA.

Ej, kajta człek moze myśleć o takich rzeczach, kiej się w drogę wybiera.

STARŻA.

A moja Matusowa, kto ma dobre serce, czas znajdzie. A jeszcze wy, coście służyli u nieboszczki żony.

MATUSOWA.

Służyłam, to mi pani ladajako płaciła, a ja robiłam, kieby nieprzymierzający, bydlę.

STARŻA.

Pani was za mąż wydała i wywianowała — gdyby nie to, Matus by się z wami nie ożenił; nie macie serca!

MATUSOWA.

Kajzebym je podziała — mam, ale dla siebie.

STARŻA *(odwracając się do innych).*

Chciałem was pożegnać, mili sąsiedzi — tyle lat przeżyliśmy na jednym zagonie, dobre i złe czasy — urodzaje i nieurodzaje — pomorki, powodzie... a nie możecie skarżyć się na mnie.

PAWEŁ.

No juści prawda, ze nam w. pan zawdy dospomagał — sukać takiego pana na dziesięć mil. Pamiętamy, jak nas pan ratował, kiej ta choroba była.

STARŻA *(z żalem).*

A przecież nie kochaliście mnie tak, jak ja was.

PAWEŁ.

Ha no cóz, kiedy już teraz takie casy nastały, ze ano brat bratu nie zycy.

STARŻA.

Ano, trudno. Ale czy wam też nie żal, moi mili, rzucać tej wioski, gdzieście się porodzili i wychowali — gdzie nasi ojcowie i dziadowie leżą?

MATUS.

Ej, co tam, każdy ciągnie, gdzie mu dobrze, a powiadają przecie, ze w Hameryce lepiej, jak u nas.

STARŻA.

Mój syn, który przed półtora rokiem z Francyi do Ameryki popłynął, odebrać pieniądze, które nam się należą po moim bracie, pisze mi

właśnie, że tam mało któremu z polskich włościan wiedzie się dobrze, że pracują ciężko, a wielu całkiem zmarniało.

MATUSOWA *(z uśmiechem).*

Hej, prosę pana, panic pise jako dla pana lepiej, zeby naród odciągnąć od Hameryki.

STARŻA.

Jeśli memu synowi nie wierzycie, to czytajcie gazety.

PAWEŁ *(kiwając głową).*

Dyć nie kto, jeno panowie gazety pisą — a my mamy listy od swoich, to sobie bardzo Hamerykę chwalą.

WOJTEK.

A jak w. panu idzie o to, ze będzie mniej najemnika we wsi, to przeciez ludzi na ogranicu nie braknie.

STARŻA.

Mnie o robotnika nie idzie, ale o was, moi mili, żebyście nie zmarnieli za morzem, i o tę biedną ziemię, którą w cudze, a nieprzyjazne oddajecie ręce.

MATUSOWA.

Ziemi tam kuzden poradzi, a cy on przyjaciel, cy nie, to byle ją dobrze obrobił, będzie mu rodzić. A cóz nam tu lepsego? Pan ma i rolę, i dwór, i las, i krowy i konie, a ja ani dziesiątej części tego. Co mi tam za kraj taki, co w nim nijakiej sprawiedliwości niema, jeden ma zaduzo, a drugi mało, albo i nic.

MATUS.

Kieby tak wszyćkich jednako obdzielić, jak w Hameryce.

STARŻA.

I tak dobrze, ale obdzielcież gospodarze komorników, którzy nic nie mają, a potem będziemy dzielić dalej.

PAWEŁ.

Cie! hola, a cóz kumornik ma do gospodarza, cy mu to ojciec, albo brat, zeby mu dawał grunt za darmo?

STARŻA.

A czyż my także ojcowie, albo bracia, żebyśmy wam dawali za darmo? Inną miarą mierzycie dla siebie, a inną dla nas.

MATUSOWA.

Ej, co ta bajać po próżnicy — kłaniamy się w. panu, bo juz na nas cas jechać.

WSZYSCY WIEŚNIACY.

Kłaniamy się pięknie. *(Kłaniają się do kolan kapeluszami).* Pójdźwa!

PAWEŁ.

Co prawda, to mi zal w. pana odjezdzać, bo był dla mnie zawdy zycliwy, ale darmo, tak juz padło. Niechze tu Pan Jezus darzy panu na wsyćkiem.

STARŻA.

Mój Pawle, weźcież na pamiątkę ten medalionik z Jasnej Góry. Niechże on wam za mo-

rzem ten biedny kraj przypomina. Niech wam błogosławieństwo Boże przyniesie.

PAWEŁ.

Panie Boze zapłać stokrotnie wielmoznemu panu. *(Chce Starżę uścisnąć za kolana, ale ten go podnosi i tuli do piersi).*

MATUSOWA *(niecierpliwie).*

A dyć pójdźcie kumotrze, bo my tu nie będziemy na was do północka cekać!

STARŻA.

Niedobra niewiasto! Samaś nieżyczliwa i drugich chcesz odciągnąć odemnie. Złym ludziom nie darzy się w świecie.

MATUSOWA.

Niechze ta — to mnie się będzie niedazyło, ale nie wielmoznemu panu. — Prędzej w drogę!

CHŁOPI.

Kłaniamy się. *(Odchodzą).*

SCENA PIĄTA.

JĘDRZEJ — STARŻA.

STARŻA.

Dziwni ludzie! otwieraj im serce... rób co chcesz — nic nie pomoże, zawsze cię uważają za nieprzyjaciela.

JĘDRZEJ.

Ej, oni nie są z natury źli — jeno źli ludzie w głowie im przewracają. Dyć się tu włócą takie Banasiki, albo i inni jesce... co naród bałamucą.

STARŻA.

Ale skąd im się wzięła ta ochota do wędrówki — odradzałem i ja, i ksiądz proboszcz.

JĘDRZEJ.

U nich harendarz, to najlepsy doradzca. Podpije, podmówi, ocudzi i wszyscy mu wierzą. Tak jako i teraz, co ich Mendel ponamawiał do tej jazdy.

STARŻA.

Ale skąd taka wiara u arendarza, który ich gubi?

JĘDRZEJ.

Oj ci harendarze i lichwiarze, to są nasi prawdziwi królowie. Dawnoć to i piętnastu lat niema, jak harendarz we wsi miał tylko dwa zagonki przy karczmie, a teraz ma już 50 morgów. A to nietylko u nas, ale w każdej wsi. A wieluż to setnych gospodarzy poschodziło na dziadów. Naborguje mu wódki, pożycy pieniędzy, a potem gospodarstwo zagrabi. Za drugie piętnaście lat, to mało gdzie będzie katolik na gruncie siedział.

STARŻA.

A i was też nieszczęście spotkało i niewiadomo skąd?

JĘDRZEJ.

A któż wie... Zrazu tu ludzie poczęli gadać na Bartka, bo on kuzdemu odpowiadał podpaleniem — ale wyświadczył się i Mendlem, i Chaimem, ze wtedy chodził po wódkę, no i Basia go widziała, jak sedł od lasa. A potem tak ochotnie ratował, ze aze sobie rękę skalecył... kieby nie on, toby się była i przyodziewa do krzty spaliła.

STARŻA.

Trzeba się zaraz budować. Drzewa wam zborguję i połowę tylko policzę — chętnie dałbym za darmo — ale wiecie, że i ja jestem w złych interesach. Zresztą będziecie mogli i te pieniądze końmi odrobić. Przyjdźcież zaraz.

JĘDRZEJ.

Niechze Pan Jezus wielmoznemu panu stokrotnie nagrodzi.

STARŻA.

Bywajcież zdrowi, a nie martwcie się; ufajcie w Bogu i dobrych ludziach. *(Odchodzi).*

SCENA SZOSTA.

JĘDRZEJ, *potem* MENDEL.

JĘDRZEJ.

Dobre panisko — kieby wszyscy tacy byli. — Chwałaz Ci Boze, juz mam z jednej strony pomoc — może się jako wygrzebię. *(Chce odchodzić).*

MENDEL *(z telegramem w ręku wychodzi z karczmy).*

Jędrzeju, Jędrzeju!

JĘDRZEJ.

Nie mam casu, bo idę do dworu po drzewo.

MENDEL.

Juz ja wam cas zrobię!

JĘDRZEJ.

Dajcie mi spokój, ja do was nijakiego nie mam interesu. *(Idzie w głąb).*

MENDEL *(obojętnie).*

Nu, niechcecie ze mną gadać, to będziemy gadać z ziandarami.

JĘDRZEJ *(wraca się zaniepokojony).*

Co tam znowu takiego?

MENDEL.

Pamiętacie wy tego Miemca, co u mnie nocował?

JĘDRZEJ.

Jakzebym go nie miał pamiętać, skoro ze mną gadał.

MENDEL.

Aj waj... gadał z wami, to jesce gorzej... a co on z wami gadał?

JĘDRZEJ.

Co wam do tego?

MENDEL.

Jakto co mnie do tego? Powiedźcie zaraz, co z wami gadał *(bijąc ręką w telegram),* bo tu jest taka sprawa, co kryminałem pachnie... Mówcie, Jędrzeju — moze ja wam co poradzę.

JĘDRZEJ *(strwożony).*

A no widzicie... dał mi pieniądze od brata Marcina, co jest w Hameryce.

MENDEL *(z powątpiewaniem).*

Dał wam pieniądze? a nie spominaliście o nich nikomu?!

JĘDRZEJ.

Nie spominałem, bom miał od was mój grunt odkupić, a jakbyście wiedzieli, ze mam duzo pieniędzy, tobyście ze mnie ciągli.

MENDEL.

A duzo było tych pieniędzy?

JĘDRZEJ.

Dwanaście takich złotych dukatów amerykańskich.

MENDEL *(patrzy w telegram).*

Richtig tak — a w cem one były?

JĘDRZEJ.

W zielonym, siatkowym worecku... z pierścioneczkami.

MENDEL *(patrzy w telegram).*

Richtig tak. *(Niby do siebie)* A to gałgan.

JĘDRZEJ.

Kto?

MENDEL.

Nu, ten Prus Schultze... i on wam z pewnością dał?

JĘDRZEJ.

I cóz wy ze mnie inkwizycye ciągniecie?

MENDEL.

Nu widzicie, on tu telegrafuje do mnie z Tarnowa, ze jemu u mnie w karcmie zginął taki zielony worecek z dwunastu dukatami i zeście wy jemu ukradli.

JĘDRZEJ *(przerażony)*.

Jezus, Marya! — przeciez mi je sam dał... jak Bóg na niebie, powiadał — ze mi brat posyła.

MENDEL.

Nu, to przecie musiał i list dać wam od brata — pokazecie list w sądzie i nic wam nie będzie.

JĘDRZEJ.

Ale kiej mi on nijakiego listu nie dał.

MENDEL.

Aj waj! to bardzo źle. A cy wam dawał przy świadków?

JĘDRZEJ.

Nikogusieńko nie było, jeno ja i on.

MENDEL.

A to dopiero łoter! Widzicie, ja wiem, zeście uczciwi, ale on was chce oskarżyć i oddać do kryminału.

JĘDRZEJ.

Niech mię skarzy — sto razy przysięgnę, ze mi on dał.

MENDEL.

Oskarzony nie może przysięgać — żebyście mieli świadek, albo list, to co innego, ale jak on przysięgnie, żeście ukradli, to pójdziecie choć na pięć roków.

JĘDRZEJ.

Albo to niema sądu, ani sprawiedliwości?

MENDEL.

Aj waj, sąd tylko wie, co mu przysięgli powiedzą.. a przysięgli to jest *Mordgericht*, oni tylko patrzą, żeby jak najwięcej ludzi do kryminał wsadzić.

JĘDRZEJ.

A i cóż ja poradzę biedny człowiek, kiej Bóg widzi, ze mi dał; moze napisać do brata, zeby zaświadczył? — Napiscie, Mendel, to wam wynagrodzę.

MENDEL.

Co wy myślicie, ze Hameryka taka maluśka, jak i Galicyja? — jego i za dziesięć roków nie znajdę — a wy za ten czas zgnijecie w kryminale. Wiecie co, najlepiej oddajcie mu pieniędzy, Jędrzeju.

JĘDRZEJ *(z rozpaczą).*

A jakze oddam, kiej się spaliły!

MENDEL *(niby przerażony).*

Aj waj! co wy gadacie... a moze gdzie pod spalenizną, to choćby się spaliły, zawdy złoto zostanie *(chce iść szukać).*

JĘDRZEJ.

Nie chodźcie próżno, bo ja wszyćko zprzewracał, a niema nic.

MENDEL.

A możeście wy dali komu schować?

JĘDRZEJ.

Cy i wy macie na mnie podejrzenie?

MENDEL.

Jabym moze wam i poradził, ale z wami gadać nie mozna, bo się zaraz gniewacie.

JĘDRZEJ.

Mówcie, Mendlu, — w takiem nieszczęściu to człek niema siły do gniewu.

MENDEL.

Od hareštu nikt was nie wyratuje, zagrabią wsyćko i jeszcze na was ludzie będą gadać, żeście złodziej.

JĘDRZEJ *(kiwając głową)*.

Takci... tak...

MENDEL.

Jeden sposób ten, żeby temu Prusowi oddać pieniądze. Pan Bóg jemu skarze za wasą krzywdę.

JĘDRZEJ.

Ale zkąd wziąć?... Dostanę ci prawda za tę sekuracyją, ale nim wypłacą...

MENDEL.

Jakie asekuracye? Te pieniądze mnie się

należą, bo to ja asekurowałem i płaciłem — wy z tego nie dostaniecie ani jeden cent! Ale nie turbujcie się, ja wam będę porżicać pieniędzy i zaraz poślę temu Prusowi, a wy mnie dacie w zamian chałupę i resztę gruntu. Ja was nie będę wipędzać — broń Boże — wy będziecie siać, a zborżem to będziemy się do połowy dzielić. Jak się potem dorobicie, to mnie oddacie pieniądze, a ja wam grunt i kwita. — Ny i cóż... git?...

JĘDRZEJ.

A róbcie juz co chcecie, bylem się wygrzebał z tej biedy.

MENDEL.

Dajcie rękę.

JĘDRZEJ *(daje mu rękę).*

Zgoda, ale pamiętajcie, Mendlu, zebyście mi tak nie zrobili, jak z tamtemi morgami — boć to przecie synowe, ale nie moje.

MENDEL.

Ej, was Jantek nie będzie się upominał — on juz gdzie o trzydzieści mil ztąd, zaprzedał się Prusakowi na trzy roki, a on go wyprawił do Hameryka.

JĘDRZEJ *(chwytając Mendla za piersi).*

To nieprawda, łżesz zydzie!

MENDEL.

Aj waj! *(wydziera się)* puście mię... żebym tak szczęście miał, ze jesce wczoraj pojechał i już pewno jest w Prusach.

JĘDRZEJ *(opuszczając ręce).*

Jantek pojechał... ja złodziej... Najświętsza Panno, ratuj mię! *(Pada).*

MENDEL *(krzyczy).*

Aj waj... on może umierać... Aj waj, *Rifke! Lajbele! (cuci Jędrzeja) Rifke wasser,* jakby umierał, cały interes na nic... Aj waj, moze to szlag!

SCENA SIÓDMA.

JĘDRZEJ *zemdlony,* MENDEL, RYFKA *z wodą* — LAJBEL *wybiegają z karczmy, z poza niej zgłębi wjeżdża para wozów chłopskich. Na pierwszym* MATUSOWA, MATUS, BASIA, WOJTEK; SZYMEK *powozi. Na drugim* PAWŁOWIE, KAŚKA *i kilku innych — fury rzeczami wypakowane, z prawej strony* STARŻA.

RYFKA, LAJBUŚ.

Wus ist?

PAWEŁ *(zeskakując z wozu).*

Co się tu stało?
Co to jest?
} STARŻA. razem

MENDEL.

Cy ja wiem? — Jędrzej upadł i nie chce wstać.

PAWEŁ *(nachyla się nad Jędrzejem i pryska nań wodą).*

Kumotrze, opamiętajcie się.

STARŻA.

Jędrzeju! *(cuci go z drugiej strony; Basia chce wyskoczyć, Matusowa przytrzymuje ją).*

JĘDRZEJ *(przychodząc do siebie).*

O ludzie! ludzie! pocoście mię zratowali, lepiej, zebym był odrazu skończył.

STARŻA.

Zaprowadźcie go do mnie do dworu.

MATUSOWA *(z wozu).*

Co się tam bawicie... jedźwa!

PAWEŁ.

To se jedźcie do dyabła... ja musę kumotra odprowadzić — a potem pojadę.

JĘDRZEJ.

A jak tam zobaczycie mojego Jantka, to mu powiedzcie, ze mię juz więcej nie ujźry, bo ja tego nie przezyję.

STARŻA I PAWEŁ *(podpierając Jędrzeja, prowadzą go wolno ku lewej stronie, oglądając się na wozy).*

LUDZIE *(na wozach na melodyę smętną krakowską śpiewają chórem).*

CHÓR.

Płynie Wisła płynie — polami sceremi
Juzci nie ujźremy — tej kochanej ziemi
Ani nasej wioski — ni kościołka z wieżą,
Ni tego cmentarza. kędy nasi leżą...
Wio wio! hetta wio! wio!

(Odjeżdżają wśród muzyki, chór powtarza się za sceną, pozostali patrzą za nimi).

KONIEC AKTU III.

AKT IV.

ODDZIAŁ PIERWSZY.

Teatr przedstawia ulicę Preston (Texas). Po prawej stronie dom, nad którym olbrzymia ręka z napisem: »James Snake fotograf«, po obu stronach drzwi gabloty z fotografiami. Po lewej stronie dom piętrowy — z okna wywieszona ogromna chorągiew czarno-biała z niemieckim orłem — po jednej stronie drzwi ogromny plan miasta — różno-kolorowemi liniami pokreślony, po drugiej stronie olbrzymi szyld z napisem »J. Schultze, Germania City biuro sprzedaży gruntów w Aryzonie«. W głębi dom, nad którego drzwiami napis wielkiemi literami: »The Parlour and Whisky-House«.

SCENA PIERWSZA.

BARTEK, DIKSON, WELLMERS *(wychodzą z szynku).*

BARTEK *(w długim podartym surducie. — Cylinder zniszczony — spodnie w buty — gruba laska w ręku).*

Ten was whisky, to o wiele lepsy, jak gorzałka u Mendla.

DIKSON.

A u was... tam... w tej... jak się nazywa?

BARTEK.

Galicyja.

DIKSON.

Czy w tej Galicya można sobie rozbijać tak, jak my?

BARTEK.

Ba... kaj tam cię zaraz uchwycą sakramenckie ziandary i pakują do kryminału.

WELLMERS.

Co to jest sakramenckie żandary?

DIKSON.

Co to jest kryminał?

BARTEK.

Ziandary, to wojaki do chwytania zbójów i złodziei, a kryminał, to taka dziura, co ich pakują do cienia.

DIKSON.

U nas wolny kraj... tu niema żandary — a jakby mnie kto chciał brać, to *(wydobywa rewolwer)* palę mu w łeb!

WELLMERS.

A kryminał... puszczamy z dymem!

BARTEK.

To jest bardzo dobry sposób. Więc tutok choćby nie wiem co zrobił, to mu nic?

DIKSON.

Ma się rozumieć — tu panuje siła przed prawem.

BARTEK.

Co to znaczy cywilizacyja! — U nas to jesce straśnie ciemny naród, ale tu dopiero *land*, co się zowie.

WELLMERS.

No, jak kogo złapią regulatory na jakim kawałku, a nie może się obronić, to mu zrobią krótki lynch i koniec.

BARTEK.

Linc! Co to jest linc? pono miasto w Austryje?

DIKSON.

To znaczy, że łapią i wieszają na pierwszem drzewie.

BARTEK.

A jakze oni przez sądu mogą wiesać?

WELLMERS.

Jak? ot tak za szyję... na powrózku!

BARTEK.

To mi się niepodoba.

DIKSON.

Głupstwo — nieraz człowiek miał już powróz na szyi, a wykpił się.

BARTEK.

Co prawda, to i u nas teraz lepsi. Dawniej jakeś co ukradł, a chycili cię, to pakowali do ciasnej ciupy, okuli w kajdanki, nie puscali nikaj, a za lada zuchwalstwo bili. Teraz mas dobre po-

słanie i oblecenie — jedzenie jakie takie. Kajdanków nie wolno i na robotę puscają, a bić wara. To tez, jak który niema kaj przezimować, buchnie co i wsadzą, *(z uznaniem)* i ludźie sobie bardzo chwalą kryminał.

DIKSON.

Tu przecież lepiej, bo choć co skradniesz, to możesz uniknąć wszelkiej subjekcyi. O ileż świat nowy stoi wyżej od zgniłej Europy, nieprawdaż sędzio?

WELLMERS.

Ma się rozumieć, generale.

BARTEK *(stropiony tymi tytułami, zdejmuje kapelusz).*

O la Boga! dyć ja nie wiedziałem, ze w-ny pan sędzia, a ten drugi jedneroł *(kłaniając się po chłopsku kapeluszem).* Prosę panów — to, com gadał o tem kradzeniu, to wsyćko nieprawda — bom jeno plótł po pijanemu.

DIKSON.

Sir włóż kapelusz i nie kłaniaj się, bo to nikczemny zwyczaj europejski; my się tu obchodzimy bez grzeczności.

BARTEK *(kładzie kapelusz).*

No!

WELLMERS.

To są nasze przybrane tytuły — tu mianujemy się sami. A powinieneś sir także sobie przybrać tytuł, nie arystokratyczny europejski wytarty liczman, ale tytuł, do jakiego daje prawo zasługa obywatelska.

DIKSON.

Tak, np. generał Dikson! Sędzia Wellmers. Brzmi to daleko piękniej, a trzeba przecie czemś się wyróżnić od małpy zwanej negrem, albo czerwoną skórą.

WELLMERS.

A jak się sir nazywa?

BARTEK *(do siebie).*

Bez co on mię syrem przezywają?

DIKSON *(zniecierpliwiony).*

Gadajże, do stu dyabłów, ośle.

BARTEK.

Bartek Kozica, absitowany gimajn od fanteryje regiment Prinz-Prajsen.

DIKSON.

Zbyt długie nazwisko, cuchnie hiszpańską arystokracyą — będziesz się nazywał master koroner Bartek.

BARTEK.

Kiebym se jeno nie zapomniał.

SCENA DRUGA.

BARTEK, WELLMERS, DIKSON, JULIUSZ, ANTEK.

JULIUSZ *(wchodząc z Antkiem głębią z prawej strony).*

Jeżeli drogi nie wiesz dokładnie, mój Antku, to się trzeba zapytać. Zanocujemy u nich, a tu jeszcze kawał drogi.

ANTEK.

Baśka mi pisała, ze o dwanaście mil hameryckich od Prestonu, zaraz nad rzeką.

BARTEK *(cicho do Dikšona).*

Zasłońcież mię, bo to obaj ludzie z naszej wsi; ten porządniejszy to syn dziedzicowy, a ten drugi to Jantek. — Nie chcę, zeby mię poznali.

DIKSON *(podobnież).*

Pss! ja ich znam.

JULIUSZ *(do Diksona).*

Za pozwoleniem, czy pan nie wiesz, gdzie tu jest osada polskich wieśniaków?

DIKSON.

Pojedziesz sir drogą ponad rzeką... na krańcu wielkiego lasu stoją polskie farmy.

JULIUSZ.

Dziękuję. *(Do Antka)* Mam jeszcze trochę interesów w mieście — trzeba też, abyś kupił, Antku, jaki podarek dla Basi — ja ci dam pieniędzy.

ANTEK.

Oj panie, panie, kiej ja się tez odwdzięcę. A że mi serce skace, jak se pomyślę, ze ujźrę moją Basię. Kiejby tylko juz jaknajprędzej do dom wrócić.

JULIUSZ.

Czy już masz dosyć Ameryki?

ANTEK.

A niech ją tam wciórnascy porwą — było poco tyle dale wędrować. *(Odchodzą).*

SCENA TRZECIA.

WELLMERS, DIKSON, BARTEK.

DIKSON.

Ten młody dżentelman ma przy sobie grube pieniądze.

WELLMERS.

Na niego to polujemy od samego Nowego Orleanu.

DIKSON.

Dwóch chłopów tęgich nie mogliśmy sami na nich napaść, ale teraz sir nam pomożesz; zwerbowałem też kilku tęgich zuchów.

WELLMERS.

Zanocują w farmie pod lasem, tam ich napadniemy.

BARTEK.

O i Matus mają pieniądze, bo brał pożyckę z banku na te nowe grunta.

DIKSON.

Pojedziesz przodem, żeby nam ułatwić wejście do blockhauzu; nasze konie stoją pod zielonym jeleniem.

BARTEK.

Kieby mnie jeno nie poznali.

DIKSON.

Na to się poradzi. *(Spostrzega szyld Schultzego)* Wellmers! *(wskazuje)* patrz!

WELLMERS.

Schultze!... a przecież raz... dwa ptaki na jeden strzał!

BARTEK.

A rychło pan jedneroł pod jelenia przyjdą?

DIKSON.

Za chwilę, tylko załatwimy tutaj mały rachuneczek. *(Wszyscy trzej odchodzą głębią. — Bartek na prawo. — Dikson i Wellmers na lewo).*

SCENA CZWARTA.

KAŚKA, SZYMEK, SNAKE.

(Wychodzą z domu fotografa. — Kaśka w jedwabnej sukni z ogonem, ubranie z tyłu sukni ogromnie przesadzone. Na głowie dziwaczny kapelusz, z piórami i z kwiatami, bransolety, brosza, pince-nèz na czarnej wstążce. — Szymek w króciutkiej marynarce, spodnie jasne, kamizelka biała, ogromny łańcuch, cylinder wielki biały).

KAŚKA *(kłaniając się ręką do nóg Snakemu).*

Dziękuję jaśnie panu malarzowi, a jak będę na fotografii piękniejsza od nasej dziedzicki, to im jesce dam na podarunek kogutka.

SNAKE *(we drzwiach).*

Za trzy dni będą gotowe, a proszę zaraz iść do pana Schultze i powiedzieć, że zrobiłem fotografie tak, jak sobie życzył *(wchodzi do siebie).*

KAŚKA.

Wygadujes na tego Siulca, a on nietylko kozał nas fotografić, ale jesce pożycył takich piekniuśkich ubiorów, ze wyglądamy kieby nieprzymierzający jacy hrabiowie.

SZYMEK.

Ma on jakąś w tem śpekulacyją, alem ja głupi na to, żebym odgadnął. Ale ze nie ućciwy, ze nami orze, to przeciez sama wies. Pięć kwartałów robimy na niego, a nie mozemy się za transport wypłacić; a wsyćko, przyodziewę, jadło, stancyją, trzy razy nam tyla rachuje, co warto.

KAŚKA *(ogląda się po sobie i chodzi po scenie).*

Harowałabym jesce bez drugie pięć miesięcy, kieby mi jeno te smaty podarował i ten kapelus.

SZYMEK.

Wlazłabyś w nich w zboze, zeby wróble strasyć. Mnie w tem kusem ubraniu okrutnie przeciwnie — zda mi się, zem oblepiony gliną... No, nie bałamuć, a pójdź do Siulca, trza mu oddać ubranie.

KAŚKA.

Przeciez mi obiecał nase fotografije posłać do Galicyje. Dopiero to będą zazdrościli, jak ujźrą, ze dworska dziewka od krów na taką panią wysła... Widzis, ze Siulc wsyćko robi z przyjaźni.

SZYMEK.

No! toć z tej wielkiej przyjaźni obił cię kijem w sobotę; kieby cię tak nas dziedzic palcem

trącił, tobyś posła na skargę do sądu, a jemu nic nie mówis.

KAŚKA.

No cóz mu będę mówiła, skoro tu taki hamerycki zwycaj.

SCENA PIĄTA.

DAWNI I WOJTEK.

WOJTEK.

(Obdarty i bardzo mizerny — zbliża się nieśmiało do Szymka i Kaśki, a kłaniając się nizko, mówi).

Upraszam tez do Opatrzności Boskiej, miłosierne osoby, bom tez juz bez dwa dni nic nie „adł.

KAŚKA.

O rany Boskie, dyć to Wojtek!

WOJTEK.

Kaśka! Szymek!
SZYMEK. } razem
Wojtek!

(Rzucają się sobie w objęcia i ściskają).

SZYMEK.

A zkądześ się tu wziął, Wojtek? Dyć my cię nie widzieli jak w Milorku, kiejśwa wysiedli z damsifu.

WOJTEK.

Oj, natyrał ja ci się, człeku, zem ledwie nie zdechł z biedy. Zaraz pierwszego dnia jakiś

Hamerykanin pojął mię na noc, spoił jak bydlę i okradł do grosa. A jakem się upominał, to mię tak zbili, zem bez dwa miesiące w śpitalu lezał. Potem nie miałem cem na ten śpital odrobić, tom musiał bez sześć niedziel zamiatać ulice. Ani się z kim zmówić, ani się kaj podzieć! Obdarłem się jak dziod. Juzem ci się chcioł utopić.

SZYMEK.

O Maryja!

WOJTEK.

Dopiero ci raz jeden rozbijam kamienie przy gościńcu i śpiewam na cały głos godzinki. — A tu jedzie jakiś pan, — przystanął i rzeknie mi po polsku: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dopiero jak to usłysę, jak wezmę płakać... myślałem, że mię udusi.

KAŚKA.

A i cóż to był za jeden?

WOJTEK.

A no młody księzycek, co go tu posłali na misyjonarza, zeby tych cerwonych ludzi pogańskich nawracał. Jakem mu opowiedzioł, tak ci mię wziął do służby i przyjechałem z nim do Galwestonu. Dalej mię brać nie chciał, bo tam kaj jechał nieprześpiecno. No, w Galwestonie byłem u jednego farmera bez trzy kwartały w służbie, uzbierałem trochę grosa, a jak napisali w gazecie, ze tu grunta za darmo dają, takem się tu puścił.

SZYMEK.

I chces tego gruntu?

WOJTEK.

Juz nie chcę, bo mię przedwcora na drodze jacyś napadli i wsyćko com miał zabrali — jeno te hadery na mnie ostały.

SZYMEK *(daje mu pieniądze).*

Mas na początek, potem ci dobrą służbę naraję. Okrutniem rad, ze cię widzę, Wojtecku.

WOJTEK.

A widzis, we wsi toś się ze mną zawdy bijoł.

SZYMEK.

Bo w domu to się inaczej zdaje, a tu jak ujźry swojego, to mało serce nie wyskocy *(ściskają się).*

SCENA SZÓSTA.

KAŚKA, WOJTEK, SZYMEK *na przedzie sceny, po lewej* SCHULTZE *wychodzi z domu ubrany jasno, jak zamożny plantator, pełno na nim kosztowności. — Za nim murzyn w czerwonej kurtce i białych pantalonach, wynosi stół i krzesło, wielką księgę, potem wskakuje na ławę i trąbi. Na odyłos ten zbierają się Amerykanie, Meksykanie w swoich kostiumach — paru Chińczyków, Japończyk, Indyanin, okryty skórami z czupryną wysoką na wierzchu głowy związaną z tomahawkiem i w mokassynach, murzyni obojej płci i t. d.*

SCHULTZE *(spycha murzyna i wskakuje na ławę z prętem złotym w ręku i zaczyna mówić donośnym głosem).*

Czcigodni obywatele Stanów Zjednoczonych!

Najszlachetniejsi mieszkańcy obu półkul świata! *(Daje znak, murzyn znowu zaczyna trąbić)* Słuchajcie!

TŁUMY.

Słuchajcie! Słuchajcie!

SCHULTZE.

Obywatele kuli ziemskiej — po waszych szlachetnych fizyognomiach widzę, że nie opływacie w ziemskie dostatki.

TŁUMY.

Tak! Tak!

SCHULTZE.

Porzuciliście stary przesąd zwany ojczyzną, jak podarty łachman, bo waszem hasłem: gdzie dobrze, tam ojczyzna.

TŁUMY.

Tak! Tak!

SCHULTZE.

Ale tu Amerykanie najtłuściejsze kąski zjadają, a nam rzucają kości.

TŁUMY.

Tak! Tak!

SCHULTZE.

I ja rzuciłem moją wielką niemiecką ojczyznę, by nieść niemiecką kulturę i niemiecką cnotę na drugą półkulę, ale w New-Yorku wolni Amerykanie okradli mię. Musiałem z nędzy ulice zamiatać w tem przeklętem mieście.

SZYMEK *(do swoich)*.

Co to ci cygan ćmi.

SCHULTZE.

A dziś patrzcie! strój na mnie od nadwornego krawca khedywa! Kapelusz od kapelusznika królowej angielskiej. *(Wyjmuje zegarek).* Remontoir taki, jakiego wielki nasz wódz używał pod Sedanem!... Czy wiecie kto mnie zbogacił?...

TŁUMY.

Nie! Nie!...

SCHULTZE.

Herman Schwindelberg, bogacz większy od Wiliama Astora, który pozostawił po sobie dwieście milionów dolarów.

TŁUMY.

Aaaah!...

SCHULTZE.

Kolosalny ten bogacz powiedział sobie pewnego poranku. »Mam dosyć, niech moi biedniejsi bracia także mają«.

TŁUMY.

Hurra!

SCHULTZE.

Zakupił on w Aryzonie, w tym raju ziemskim, grunta nad ujściem Dżyli do Kolorado — pół miliona akrów ziemi, słyszycie — pół miliona, i powiedział: »To nie moje!.. to własność moich biedniejszych braci«.

TŁUMY.

Hurra!

SCHULTZE.

Powiedział sobie: »Zbuduję tam ogromne miasto Germania-City, większe od wszystkich miast

na kuli ziemskiej, z wyjątkiem naszego wspaniałego Berlina. *(Wskazuje prętem na planie)* Patrzcie: oto jego plan, tu pałac kongresu aryzońskiego, tu uniwersytet — tu łaźnie publiczne, tu teatr — park — giełda — wspaniała giełda — tu amerykański klub — tu redakcya transatlantyckiego Kladeradacza!

TŁUMY.

Hurra!

SCHULTZE.

Klimat boski! wieczysta wiosna! Jeden akr ziemi wydaje trzysta buszli pszenicy — kura dwa razy na dzień jaja niesie — krowa trzy razy do roku wydaje cielęta! Grunt cały przerosły złotem, niczem Kalifornia.

TŁUMY *(wydają szmer powątpiewania).*

SCHULTZE.

Nie wierzycie, szlachetni. Oto żywe świadki! *(Woła)* Master Schimek — Miss Kaschka *(zbliżają się do niego — on ich stawia na ławie).* Patrzcie, tych dwóch ludzi pochodzi z kraju barbarskiego, zwanego Poland. W domu mieszkali w jamach ziemnych i żywili się chrabąszczami.

SZYMEK.

Łżesz, cyganie.

SCHULTZE *(cicho do Szymka).*

Milcz, bo ci w łeb palnę. *(Głośno)* Przyszli oni boso z Europy, odziani skórami niedźwiedzi, a dziś, po trzech miesiącach pobytu w Aryzonie, nakopali tyle złota, że zostali dżentelmanami.

Patrzcie na nich, jakie tłuste gęby — jakie grube ramiona — jakie bary... Czy chcecie być bogatymi, jak oni?

TŁUMY.

Tak! Tak!

SCHULTZE.

A więc zapisujcie się na osadników do Aryzony! Wpis 10 dolarów, koszta podróży 20 dolarów, prawo kopania złota 10 dolarów, asygnacya na dom 10 dolarów, 50 akrów gruntu 10 dolarów — Razem 60 dolarów — taniej niż darmo, za 60 dolarów — każdy z was zostanie bogaczem. *(Siada za stołem i rozkłada księgę)* Dżentelmanowie zapisujcie się! *(Tłum otacza Schultzego, składają pieniądze i zapisują się, on zgarnia pieniądze i wydaje kwity sznurowe).* Dżentelmanowie, zapisujcie się! zapisujcie się!

SCENA SIÓDMA.

DAWNI — DIKSON — WELLMERS. *(Obydwaj przeciskają się przez tłum aż do samego* SCHULTZEGO — *jeden z jednej, drugi z drugiej strony przed nim, on zajęty pisaniem nie widzi ich).*

DIKSON *(uderzając Schultzego w ramię).*

Proszę i mnie zapisać. Generał Dikson!

WELLMERS *(podobnież).*

I mnie — sedzia Wellmers!

SCHULTZE *(zrywając się, przerażony).*

Dikson! Wellmers!

DIKSON.

Okradłeś transatlantycką kompanię wywozu emigrantów!

WELLMERS.

Oszukałeś bezczelnie nas, twoich spólników!

SCHULTZE *(wskakując na ławę).*

Dżentelmanowie, chwytajcie ich, to złodzieje!

DIKSON.

On złodziej, on was chce okraść! Aryzona to blaga!

SCHULTZE *(wydobywając rewolwer strzela do Diksona, który schyla się, a kula trafia Wojtka za nim stojącego).*

WOJTEK.

Jezus, Maryja! *(Pada).*

WELLMERS *(strzela i zabija Schultzego; z zimną krwią do tłumu).*

Obywatele, lynch spełniony — na bok — my jesteśmy regulatorzy. *(Tłum przerażony ucieka na wszystkie strony. Dikson i Wellmers z wymierzonymi rewolwerami swobodnie wychodzą, korzystając z ogólnego przerażenia).*

SCENA OSMA.

SZYMEK, WOJTEK, KAŚKA.

SZYMEK *(który zaraz po ugodzeniu Wojtka przypadł do niego i usiłował krew zatamować).*

Ludzie, ratujcie! dla Boga, Wojtuś umiera! Kaśka, a dyć skoknij choć po wodę.

KAŚKA.

Zarasiniecko przyniosę. *(Do siebie)* Siulca zabili — już mi tych sukien nie odbierze — trza umykać z niemi *(ucieka)*.

SZYMEK.

Wojtuś... Wojtecku!... opamiętaj się — kieby choć cyrulika — wsyscy uciekli, zamiast ratować; a cóz to za taki psi, zatracony naród. *(Woła)* Gwałtu! *(Muzyka gra piano pieśń pożegnalną z końca III-go aktu)*.

WOJTEK *(otwierając oczy)*.

Daj pokój, Symku! to wsyćko na nic... ja wnetki umrę.

SZYMEK.

Wojtecku! braciszku! ady się skrzep.

WOJTEK.

Oj Boze, mój Boze! juz nie ujźrę swoich, ani wioski... Symku, kiebyś chociaz skąd sprowadził księdza, zeby mię wysłuchał... Umierać na kraju świata przez spowiedzi... przez świętych sakramentów...

SZYMEK.

Gdzież ja ci teraz księdza znajdę?... Dyć moze nie umrzesz!

WOJTEK.

Trza mi było tyle dale jechać po taką śmierć...

SZYMEK.

A ludzie! ludzie! co ja tez pocnę? *(Płacze)*.

WOJTEK.

Zmówze choć ty pacierz nademną... a pochowaj mię i krzyzyk postaw na grobie... tak jak u nas, w Galicyi.

SZYMEK.

Wojtku! Wojtku!

WOJTEK *(z wysileniem).*

Oj ta Hameryka... Hameryka! Jezus Maryja.

SZYMEK *(wstrząsa go).*

Wojtuś! Wojtuś!... juz po nim.

SCENA DZIEWIĄTA.

DAWNI, KONSTABL, STRAŻ.

KONSTABL *(dotykając ramienia Szymka).*

W imieniu prawa, aresztuję was.

SZYMEK *(nie zrozumiawszy o co idzie).*

Pan Bóg go zesłał... Poratujcie go... moze jesce zyje.

KONSTABL.

Wstańcie i chodźcie — zabiliście tego człowieka.

SZYMEK.

Dyć ja go nie zabił, jeno ten, *(wskazując Schultza)* co hań lezy.

KONSTABL.

Więc dwóch zabił... brać go.

SZYMEK.

Aleć tamci uciekli, a jego przecie nie mógł zabić, boświa z jednej wsi!

KONSTABL.

Przed sądem będziecie się tłumaczyć. *(Do żołnierzy)* Brać! *(Do Szymka)* Marsz!

SZYMEK *(rzuca się na ciało Wojtka).*

Bądź ze zdrów, braciszku, nawet cię nie pochowam. *(Żołnierze odrywają go i uprowadzają).*

KONIEC AKTU IV.

ODDZIAŁU PIERWSZEGO.

AKT IV.

Teatr przedstawia farmę Matusa, wnętrze blokhauzu, izbę drzewianą niebieloną. Na przodzie stół i kilka stołków prostej ciesielskiej roboty. W głębi komin, na którym pali się ogień. Obok szafka z naczyniami kuchennemi. Na prawo w ścianie okno z okiennicą od środka — w tylnej drzwi wchodowe. Dzwonek do izby. Po rozpoczęciu aktu niedługo zapada zmierzch, ale bardzo wolno i nieznacznie.

SCENA PIERWSZA.

MATUSOWA — BASIA.

(Matusowa zajęta gotowaniem przy kominie, Basia siedzi na ziemi i trze mak w donicy).

MATUSOWA.

A dyć się spies z tym makiem, robis jak za pańskie.

BASIA.

Chwała Bogu — znowu się zacyna, a jesce we wiliją, to będziecie tak bez cały rok się złościć!

MATUSOWA.

Cóz ty tak otwieras gębę? Ejze! bo ci ją zamknę.

BASIA.

Jak wam się niepodobom, to sobie pójdę — wszędzie mi zapłacą, i nie będę potrzebowała za darmo robić.

MATUSOWA.

Cie!... za cózbym ci płaciła? alboś to nie nasa?

BASIA.

Krowa wasa i koń was, ale nie ja... bo tu nie Galicyja, tu kuzden wolny, a kto chce, zeby mu robić, to cy macocha, cy nie macocha — niech płaci!

MATUSOWA.

A ciebie co dziś napadło?

BASIA.

Mogliście mię doma ostawić, a kiedyście mię przez moc zabrali, to ja się nie dam krzywdzić, rozumiecie! Od świtu do nocy rób! Ani znajomego, ani nijakiej uciechy, ani kościoła. Ot i dziś na pasterkę nie pójdziewa, ani jutro na nabożeństwo, choć takie wielkie święto. Zatracony taki kraj!

MATUSOWA.

O jaka mi pobozna duszycka — do kościoła jej się zachciewa! Tu inaksa moda — tu się kazdy modli jak mu się podoba i mozna się obejść przez kościoła i przez księdza. Ja się obejdę, to i ty mozes.

BASIA.

Tak wam tez i Pan Bóg dazy, jak wy o Niego dbacie. A bez cóz to to mały Jasiek, takie ślicne chłopiątko, umarł — a Marynka juz trzy niedziele lezy. Zyjecie jak poganka — sami pacierza nie mówicie i dzieci go nie naucycie. To mi dopiero matka!

MATUSOWA *(porywa kij z kąta i chce ją uderzyć).* Ah ty!

BASIA *(krzyczy).*

Tatusiu! gwałtu! bo mię macocha chce bić.

SCENA DRUGA.

MATUS *(wpada).*

I cóz wy zatracone baby wyprawiacie — będziecie wy cicho?

MATUSOWA.

To to twoja kochana córecka! Zeby juz ją raz bisi porwali.

MATUS.

Cichojze stara — niby ja to nie wiem, ze ona ci solą w oku. Cemuś jej zabroniła iść za Jantka i ostać w Galicyi? I jej byłoby lepiej, i ja miałbym spokój.

MATUSOWA.

A dyć se ją opraw w ramecki!

MATUS *(uderzając pięścią w stół).*

Cicho! *(Łagodniej)* Toć przecie dziś wilija Bożego Narodzenia, największa radość w całem

chrześcijaństwie, najpiękniejsze święto, Zbawiciel się rodzi... a wy mi tu takie despety robicie?!

BASIA.

Ej, mój tatusiu, bo mi juz tak załośnie na sercu, ze się o mało nie zatrapię. *(Idzie do Matusowej)* Przepuście mi, pani matko!

MATUSOWA *(łagodniej).*

A drugi raz nie wypominaj mi Jasia. *(Ociera łzy)* Mój Boże... takie miłe dzieciątko! takie mądre.

BASIA *(ściska ją).*

Pan Bóg was pociesy — jeno się ku Niemu nawróćcie, a nie dufajcie, jak te Hamerykany, co w nic nie wiezą, jeno w pieniądz. *(Matusowa ją całuje).*

MATUS.

No tak, jaze miło. Zakrzątnijciez się kole wiecezy, nagotujcie barscu z grochem i pszenicy z miodem i klusków z makiem, jak to w domu bywało — moze tez Pan Bóg jakiego człeka nagodzi. *(Kobiety idą do komina. Matus siada na przodzie przy stole i podpiera się ręką).* Myślałem, ze się tu wnet ubogacę, a tu półtora roku ciężkiej pracy i ledwie zem ten kawał ziemi wykarcował... No jest ci chleb, ale tak się cni... tak markotno... ze mi juz wsyćko zbrzydło... Ja tu długo nie pozyję. *(Słychać mocne dzwonienie, Basia chce iść, on ją wstrzymuje i mówi)* Cekaj... pójdę sam, bo nie wiadomo kto, o napaść w tej pięknej Hameryce nie trudno. *(Bierze fuzyę z kąta i opatruje).* Gozej jak w lesie między wilkami. *(Idzie do drzwi)* Kto tam?

SCENA TRZECIA.

MATUSOWA, BASIA, MATUS, BARTEK.

BARTEK *(za drzwiami).*

Kupiec po pszenicę z Goldwestaun.

MATUS *(zajrzawszy przez okienko we drzwiach, otwiera).*

Witam, prosę do izby. *(Zamyka drzwi i prowadzi go — obadwaj wchodzą do izby).*

BARTEK *(ubrany w długi niebieski paletot — wysoki cylinder, blond perukę, ciemne okulary i angielskie bakenbardy).*

How do you do!

MATUSOWA *(ściera stołek fartuchem).*

Prosę siadać.

BARTEK.

I thank you! *(Siada na stołku i opiera nogi na stole).*

BASIA *(do Matusowej cicho).*

Jakiś bogaty Hamerykanin, bo wraził nogi na stół.

BARTEK.

Czy ma moc buszel pszenica przedać?

MATUS.

Będzie z pięćdziesiąt, ale ja dziś nie przedaje... bo dziś wilija Bożego Narodzenia.

BARTEK *(zapominając się, porywa się na nogi).*

Wilija!

MATUS.

Co mówią?

BARTEK.

Not, not. *(Siada jak wprzódy).* A mają i!...

MATUS.

Kiedy nie rozumiem, co chcą.

BASIA.

Tatusiu, mnie się widzi, ze oni chcą arbaty...

BARTEK.

Yes, yes... herbat.

MATUS.

My ta tego nie zazywamy, ale co Bóg dał, to z nami zjedzą.

BARTEK.

Kleb, mleko! A czy tu niema zbój, albo Indyan!... bo ja mam moc dollars.

MATUS.

Teraz jakoś nie słychać, ale przed sześciu miesiącami, to cerwone skóry spaliły w sąsiedztwie farmę i co do jednego wsyckich zarznęli.

MATUSOWA *(przynosi chleb i mleko — spycha mu nogi ze stołu i stawia).*

U nas się nóg na stole nie trzyma, bo na nim lega dar Bozy.

BARTEK *(kładzie na stole dolara).*

To za kleb i mleka.

MATUSOWA *(odsuwa pieniądze).*

U nas nie karcma. Częstujewa, to z dobrego serca — nie za pieniądze.

BARTEK.

To nie będzie jeść — ja mam mój ham. *(Wydobywa szynkę).*

BASIA.

Matusiu, to jakiś poganin, bo we wiliją źre synkę.

BARTEK *(dosłyszawszy, odrzuca szynkę, którą niósł do ust — i zmięszany wstaje).*

A czy mają co bronić się, jakby Indyan napadł?

MATUS.

Ej jest ci dubeltówka — ale ladajaka. *(Podaje mu).*

BARTEK *(oglądając fuzyę, zdejmuje zręcznie pistony i stawia w kącie).*

No, ja mam rebelber. *(Nowe dzwonienie u furty).*

MATUS.

A kogoz tam Pan Bóg prowadzi? *(Idzie ze strzelbą do furty)* Kto tam?

PAWEŁ.

To my, sąsiedzi... Pawłowie.

MATUS *(ucieszony).*

A witajcież! *(Wpuszcza ich i prowadzi do izby).*

SCENA CZWARTA.

DAWNI, PAWEŁ, PAWŁOWA, KAŚKA.

PAWEŁ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

MATUS, MATUSOWA, BASIA.

Na wieki wieków amen!

PAWEŁ *(wskazując na Bartka).*

Kto to?

MATUS.

Kupiec co handluje pszenicą. Ale zkądeście się tu wzięli?

PAWŁOWA.

Prościusieńko z domu. Cnęło nam się okrutnie samym, tak mówię mojemu: — Pójdźwa do Matusów — zjemy razem wiliją. *(Daje zawiniątko Matusowej)* Macie tu kołaca, trochę grusek susonych jesce z Galicyje.

MATUS.

Niechze wam Pan Jezus nagrodzi, żeście przysli. *(Wskazując Kaśkę)* A cóz to za pani?

PAWEŁ.

Nie poznaliście jej, a dyć to Kaśka Wyźralonka.

MATUSOWA, BASIA.

Kaśka?

KĄŚKA.

No, juści ja!

MATUS.

A zkądześ ty na taką panię wysła, dyć nie dawno chodziłaś obtargana.

KAŚKA.

Udałam się jednemu, co wrócił z Kalafonii, ozenił się ze mną i tak mię ustroił.

MATUS.

No, a gdzies on jest?

KAŚKA.

Ba, juz nie zyje, bo go zastzelili w mieście, a ja od strachu do Pawków uciekłam.

PAWEŁ.

Oj! kraj ci to, kraj, co do siebie tak strzelają, kieby do wściekłego psa.

MATUSOWA *(z przymileniem do męża).*

Matus — jak przedas pszenicę, to mi kupis taką ogoniastą suknię.

MATUS.

Cóześ to urzędnicka, cy hrabina jaka! Oto lepiej nakrywajcie do stołu, nakłaść pod rańtuch siana, a ja przyniosę z sopy niemłóconego zboża. *(Idzie do szopy, kobiety krzątają się koło nakrycia — Matus wnosi cztery pęki słomy i ustawia w czterech kątach izby).* Tak będzie jak bywało doma.

PAWEŁ *(patrzy w okno).*

Gwiazdecki co jeno nie widać. Mój Boze! my tyla dale, a nasi tam razem w gromadzie będą spożywać świętą wieczerzę.

PAWŁOWA.

Oni sobie ryktują wiliją. No, jus wsyćko gotowe, mozemy i my siadać. *(Kobiety zastawiają stół misami i jedzeniem).*

MATUSOWA.

No, siadajcie kumotrowie.

MATUS *(patrząc przez okno).*

Chwileckę jesce, chwileckę, jeno gwiazdecka zaświeci.

PAWEŁ.

Oj niema to świąt piękniejszych jak nasze Boże Narodzenie — jak ta święta wilija, kiej się zejdzie i cała rodzina i czeladź, a przy jednym stole zasiędą. Cy w najspanialszym dworze, cy w najbiedniejszej chacie cieszą się wszyscy z przyjścia na świat Odkupiciela, z narodzenia maleńkiego Dzieciątka w złobie. Choćby najzawziętsi nieprzyjaciele godzą się i wybacają sobie, łamiąc się opłatkiem. — Choćby najgorsy, najzakamienialsy zbrodniarz, mięknie i staje się choć na tę chwilkę ucciwym człowiekiem. *(Poruszenie Bartka).*

MATUS.

Tamtej wilii byliśmy w drodze w stepie; o wszystkiem się zapomniało przy turbacyi — dziś przecie chociaz ją razem odprawiamy.

PAWŁOWA.

A tu nawet nikt nie pomyśli o świętach — te Hamerykany nawet nie wiedzą jak się wilija obchodzi.

BASIA.

Mój Boze, jak tez to u nas miło, kiej na pasterce wezmą grać na organach, a ksiądz przy ołtarzu zaśpiewa pierwszy »Anioł pasterzom mówił« *(wybucha płaczem).*

MATUS.

Nie płac, dziewucho... cóz robić, wola Boska... kiejśmy juz tu, to chociaz po nasemu odprawimy wiliją. *(Spogląda w okno)* Gwiazdecka błyscy na niebie. Pan Jezus się rodzi, siadajmy. *(Wszyscy siadają. Do Bartka)* Niechajze i oni siadają, a dar Bozy z nami podzielą.

BARTEK *(siada machinalnie na rogu stołu po lewej, nic nie mówiąc).*

PAWEŁ *(wyjmuje z bocznej kieszeni pakiecik w papierze zawinięty).*

Zgadnijcie, moi mili, co to jest! *(Milczenie)* Patrzcie *(wydobywa zwykłą paczkę opłatków, kolorowym papierem w środku spojoną).*

WSZYSCY *prócz* BARTKA.

Opłatki!

PAWEŁ.

Opłatki, ale nasze, z Galicyje. *(Cisną się koło Pawła).*

PAWŁOWA.

Odłupało mi się dno od skrzynecki i kieby cudem Boskim znalazłam tę pacusię, co mię nią przed dwoma laty ojciec Joachim z Krosna obdarzył.

MATUS.

No więc jako stary obycaj każe; przełammy się. *(Za sceną w odległości słychać piano na organach pieśń »Anioł pasterzom mówił«).* A czegoz będziemy sobie zycyli przy tym żłobecku?

PAWEŁ.

Bracia kochani! Oby ten maluśki Jezus, w złobie na sianku położony — dozwolił nam biedakom, choćby na godzinę przed śmiercią, nasą rodzinną wioskę ujrzeć.

MATUS.

I zeby naród wiejski przestał zabawiać się gorzałką, pracował i oszczędzał, a nie chodził na poniewierkę.

PAWEŁ.

Amen! *(Wszyscy łamią się opłatkiem i ściskają, kobiety ocierają łzy).*

MATUS *(przystępuje do Bartka).*

Panie kupiec, nie jest to was obycaj, ale kiedyście zaśli pod strzechę polskiego kmiecia, to nie pogardzajcie jego zwycajem, a przełamcie się z nami poświęcanym opłatkiem *(podaje Bartkowi opłatek)* Niechaj wam Pan Bóg szczęści i błogosławi na wszyćkiem.

BARTEK *(drży ze wzruszenia — nie przyjmuje opłatka — chwila wahania — potem nagle zrywa perukę, okulary, bakenbardy i pada na kolana przed obecnymi).*

Ludzie, darujcie mi, bom ja niegodny łoter! zbój! złodziej!

WSZYSCY *(poznając go).*

Bartek!

BARTEK.

Jam tu przyszedł was wyśpiegować, zrabować, podpalić, a moze i zabić. — Ale jakem ujrzał ten stół siankiem nakryty, te snopy w kącie i tę wieczerę — jakeście mi podali opłatek, tak zmiękła dusza... proszęż was strzelcie mię w łeb, jak psu wściekłemu. *(Ogólne przerażenie).*

MATUS *(po chwili).*

Bartku! Pan Jezus swoim zabójcom przebaczył na krzyzu, a łotra Dyzmę wziął ze sobą do raju — niechze i wam tak przebacy, jak my wam dziś przy świętej wilii z serca odpuscamy *(podnosi go i podaje opłatek).*

BARTEK *(odsuwając go).*

Nie, ja niewart łamać się opłatkiem... Cy wiecie, ludzie, zem z namowy Mendla podpalił i okradł Jędrzeja? *(ponowne przerażenie — pauza).*

PAWEŁ.

Z tego sprawcie się Panu Bogu, a jeśli szczeze załujecie i poprawicie się, to i ten grzech wam odupści — no, siadajcie.

BARTEK.

Nie myślcie o jadle, bo tu lada chwila zbóje, co mię na prześpiegi wysłali, przylecą! trza się gotować do obrony. *(Słychać szczekanie psów, potem parę strzałów).*

MATUS.

Co to jest?

BARTEK.

Dla Boga, już są! Zapierać drzwi i okna. *(Zasuwa okiennicę).* Strzelby!

PAWEŁ *(chwyta strzelbę).*

Matusie, zaprzyjmy drzwi.

BARTEK.

Załóżcie kapsle, bom je zdjął, ale mam tu rewolwer. *(Biegnie zatarasować drzwi, w tem Dikson, Wellmers i trzech Indyan wpada do izby — dwaj inni oknem z dziedzińca, Bartek strzela, jeden z Indyan pada).*

DIKSON.

Ty łotrze przeciw nam. *(Rzuca się z wielkim myśliwskim nożem na Bartka, który się z nim pasuje i otrzymuje ranę).*

BARTEK *(wyrywa mu nóż i przebija).*

Mas! *(Tymczasem Paweł i Matus bronią się pozostałym; nagle ze drzwi padają strzały — przez drzwi Juliusz i Antek wpadają z rewolwerami; strzały, Indyanie pierzchają).*

SCENA PIĄTA.

DAWNI, JULIUSZ, ANTEK.

JULIUSZ.

Poddajcie się, cały dom otoczony. *(Wellmers schwytany przez Pawła i Matusa — dwaj inni umykają).* Dzięki Bogu, przybyliśmy na czas.

WŁOŚCIANIE *(poznając Antka).*

Jantek!

ANTEK.

A juści ze ja... a ten pan, to syn nasego dziedzica.

MATUS, PAWEŁ.

Pan Ulijus!

JULIUSZ.

Witajcie mi, kochani rodacy.

MATUS.

Zkądze się tu pan tak niespodzianie wziął, zeby nas ratować?

JULIUSZ.

Rzecz bardzo prosta: przejeżdżałem tędy przypadkiem z Antkiem — usłyszeliśmy krzyki i wystrzały, a że w tej części Ameryki o rozboje nie trudno, pośpieszyliśmy z pomocą, dzięki Bogu skuteczną.

ANTEK.

Oj! nie tak ci, nie! Panic jechał do was umyślnie. Trza wam wiedzieć, moi mili, ze mie się tu okrutnie źle wiodło, nie mogłem się do was dopytać — bieda mnie tłukła, ani nijakiej roboty, ani zycia. Dopiero jednego dnia spotkałem w Orlanie pana Ulijusa. Poznał mię i przyjął do słuzby. Jakem opowiedział wsyćkie moje strapienia, tak się ochwiarował ze mną tu jechać i wstawić się do was, zebyście mi Basię dali — no, i jesteśmy.

PAWEŁ.

Dziękujemy panu ślicnie, ze nas zratował — ale pono nie byłoby nic z tego, gdyby Pan Jezus cudownym sposobem nie nawrócił Bartka, który nas ostrzegł o zbójcach.

ANTEK.

Bartka? A kajże on?

BARTEK *(podnosząc się z trudnością nieco).*

Tum, Jantku... dostałem za swoje... niewiele mi się na tym świecie nalezy... sprawiedliwie mię Pan Bóg pokarał.

ANTEK *(przyskakując do Bartka i podpierając go).*

Dla Boga! ludzie, ratujcie go, bo okrutnie brocy. *(Pawłowa i Basia pomagają mu obwiązywac Bartka).*

BARTEK.

Nie ratuj mię, Jantku, bom ja ciebie i twojego tatusia srodze pokrzywdził. Musicie to wsyćko przy świadkach spisać, zebyście wiedzieli na kim sprawiedliwości sukać.

MATUSOWA.

Właśnie zabieraliśmy się do wilii, kiedy nas te zbóje napadły... I któż nas poratował... oto syn nasego dziedzica... a ja zawdy byłam niezycliwa dworowi... ze nawet panicowi w ocy nie śmię spojźryć.

JULIUSZ.

A ja, moja Matusowa, o tej nieżyczliwości nic nie wiem; a takim szczęśliwy, jakbym rodzonych moich zobaczył. Smutne to nasze spotkanie

pośród trupów, smutna wigilia o tysiące mil od rodzinnej ziemi — ale wielką mamy pociechę, zszedłszy się w ten dzień uroczysty ze swoimi. *(Podaje im ręce)* Niechże ta wigilia pogodzi nas na zawsze.

(Paweł — Matusowa i Matus ściskają ręce Juliusza).

MATUS.

Za wszyćko trza dziękować Panu Jezusowi. Człek w domu swarzy się, gniewa ze swoimi, dopiero jak się dostanie w inny kraj, między obcych, pozna co to swój znacy.

JULIUSZ.

No to może zechcecie oddać Basię Antkowi, a ja ich z sobą zabiorę?

MATUSOWA.

Juz widno Pan Bóg przeznaczył, zeby się pojęli. Niechze jadą, a o macose dobze spominają.

MATUS.

O, niech jadą... niechze chociaz oni ujźrą tę Galicyję, którąśmy ochotnie rzucali, a dziś jej zalujewa. Milsy mi był kawałek suchego chleba na rodzimym zagonie, niz tu choćby i wielkie dostatki. Teraz wiem, ze wszędzie pracować trzeba, a tu jesce ciężej, jak u nas... Teraz wiem, ze u nas wsyćko inakse, i naród scersy, i ziemia kochana, i obycaj milsy, i jakieś piękniejse słonecko.

KONIEC AKTU IV.

AKT V.

Dekoracya ta sama co w drugim akcie, z tą różnicą, że w miejscu chaty Jędrzeja spalonej, stoi dom nowy, strzechą pokryty.

SCENA PIERWSZA.

JĘDRZEJ, *potem* STARŻA.

JĘDRZEJ *(siedzi na przyźbie pod domem i przesuwa paciorki różańca, kończąc pacierz).*

I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw odezłego, amen.

STARŻA *(wychodzi z furty kościelnej).*

Dzień dobry, Jędrzeju, wy przy pacierzu, a ja z kościoła... jakże się miewacie?

JĘDRZEJ *(wstaje i uchyla kapelusza).*

Jak groch przy drodze, wielmozny panie. Starość nie radość — śmierć nie wesele.

STARŻA.

Komu też to o śmierci gadać, ja starszy od was, a jeszcze o śmierci nie myślę, bo przecież chciałbym jeszcze zobaczyć syna.

JĘDRZEJ.

Ba, wielmozny pan wie chociaz kaj się panic obraca, ale ja o moim nic nie wiem.

STARŻA.

Cóż z tego, że wiem, kiedy nie wraca... Wątpię, żeby nawet udało mu się odebrać spadek po moim bracie, po który pojechał.

JĘDRZEJ.

A i pocóz brat wielmoznego pana jechał do Hameryki, skoro miał wieś kajś wedle Poznania?

STARŻA.

Zdawało mu się, że tam bardzo źle, sprzedał więc majątek i wyniósł się do Ameryki szukać lepszego. Tymczasem po czterech latach umarł zawiedziony — zamiast swobody, znalazł tęsknotę i zmartwienie. Stracił wiele, a co po nim zostało, zapisał memu Juliuszowi.

JĘDRZEJ.

Nie chcę ja tych hameryckich pieniędzy. Toć wielmozny pan wie, bom się wyznał ze wsyćkiego, zem omało bez nie nie dostał się najniewinniej do kryminału, zem, aby oddać Miemcowi, musiał Mendlowi nietylko pieniądze za sekuracyją odstąpić, ale jesce dopozycyć, i tak mi wlazł na gospodarstwo, ze mię dziś sprzedaje, bo się opisał jak wąz — a ja oddać nie mam.

STARŻA.

W tem wszystkiem widzę ja jakąś podłą robotę Mendla.

JĘDRZEJ.

Juści ten majster tak wyryktował... trza na stare lata iść na dziady.

STARŻA.

A ze mną, czy lepiej?... Chciałem spłacić długi, żeby czysty folwark zostawić synowi. Jankiel namawiał mię, żeby z części lasu sprzedać mu kilka tysięcy dębowych podkładów na kolej. Zrobiłem zły kontrakt — tamten las spustoszyli i drugi zajęli, proces przegrałem i dzisiaj mnie także licytują. Podajcie mi rękę, Jędrzeju; i szlachcic i chłop pójdą ze swego dziedzictwa odwiecznego z torbami.

JĘDRZEJ.

Oj ci Zydzi, ci Zydzi, do krźty nas wsyćkich katolików wydziedzicą ze ziemi. A poco się w-ny pan z nimi wdawał?

STARŻA.

Ileż ja to lat miewałem interesa z Żydami, a przecież wychodzili ze mną uczciwie. Tylko, że to dzisiejsi jacyś inni, jak dawniej.

JĘDRZEJ.

To prawda — dawniej byli życzliwi — zarobił i on, ale cłeka nie rujnował. I dzisiaj, który doktór, albo kupiec w mieście porządny, albo rzemieślnik, to całkiem inaksy człowiek, pracuje uczciwie, nie oszukuje i jest dobrym obywatelem kraju. Ale za to ci harendaze, lichwiaze i spekulanci wsiowi, to są na zatratę narodu; to jakoby śmiertelne pijawki, co jak przycepi, to nie puści,

jaze ostatnią kropelkę krwi wyssie... Oni to nas do krźty styrają.

STARŻA *(ponuro)*.

Zle z nami, bardzo źle.

JĘDRZEJ.

Juz ta przez urazy, ale i panowie jesteście winni; poco im puscacie karcmy?

STARŻA.

Mój Jędrzeju... oni się na tem lepiej znają... Nasz, płacąc połowę tego co Żyd płaci, jeszcze nie potrafi wyjść na swoje.

JĘDRZEJ.

To się wie, ze nie potrafi... ale dlacego?... bo ludzi nie rozpaja, nie borguje, na lichwę nie pożyca, a z celadzią dworską porozumienia niema, zeby pana krzywdziła. Za te kilka setek, co dziedzic więcej weźmie, to sobie i chłopom na kilka tysięcy krzywdy zrobi. Kieby panowie nie puscali im karcem, toby harendaze musieli się wziąć do innej pracy, nasby nie gubili, a uccíwym Zydom nie robili wstydu.

STARŻA.

Prawdę mówicie... i myśmy dużo zawinili. Wyrzekamy na Żydów, złorzeczemy im, że nas gubią... na nich zwalamy przyczynę naszego upadku, a nie umiemy sobie radzić i zabiegać jak oni — nie umiemy kochać się i wspierać jak oni... Gdyby między nami była taka jedność i miłość, nie zeszlibyśmy dziś na taką biedę.

SCENA DRUGA.

DAWNI, MENDEL, JANKIEL, CHAIM, SZMUL, ICEK, LAJBUŚ.

(Wjeżdżają napchani na małym jednokonnym wózku, w chudą szkapę zaprzężonym).

MENDEL *(wstrzymując konia).*

Prr! *(do siedzących) Steigt ab (wszyscy wysiadają).*

STARŻA.

Coś nam dużo gości przywieźliście, Mendlu.

MENDEL.

Eh! to takich kupców, co przyjechali na łycytacye z Tarnowa. *(Do żydów) Gajt in die Stübe raan (tamci odchodzą do karczmy).*

STARŻA.

A co tam słychać w mieście?

MENDEL.

Bardzo źle... talary i ruble idą w górę, a nasich banknotów spadają.

STARŻA.

A nie przywieźliście czego dla mnie?

MENDEL.

Jakto nie? jest... jest... *(wydobywa zwitek papierów).* Tu jest palet egzekucyjny za podatek gruntowy, tu rachunek od adwokata... tu kara za kontrawencye stempla, tu nakaz od Towarzystwo kredytowe za zaległych rat, a tu wezwanie od bank hipoteczne.

STARŻA.

Same dobre nowiny, *(odbiera papiery)* coraz to lepiej.

MENDEL.

Jędrzeju! idźcie no wyprzątać izbę, bo tam będzie siedział pan adjunkt ze sądu, co tu jedzie za nami na łycytacye.

JĘDRZEJ.

Bodaj was Pan Bóg pokarał za te licytacyją *(odchodzi do swego domu)*.

MENDEL.

A zaraz Pan Bóg pokarał. *Schwartz juhr...* Pozycać umie, a jak trzeba oddawać, to zaraz, żeby Pan Bóg pokarał... *(spluwa)* tfy!

SCENA TRZECIA.

MENDEL — STARŻA.

STARŻA.

Bo go też rujnujecie, Mendlu...

MENDEL.

On sobie sam rujnuje... Czy ja jemu kazał pożycać? Ale co tam w-mu panu chodzi o Jędrka, jednego chłopa mniej ze wsi, to mniej jednego nieprzyjaciela. Ja go umyślnie wyprawiłem do izby, bo mam z w-ym panem pogadać o ten interes z Janklem... On tu przyjechał.

STARŻA.

Widziałem go, więc cóż?

MENDEL.

Jabym radził, żeby w-ny pan zrobił zgodę z Janklem, a nie dopuścić do licytacye.

STARŻA.

Zgody być nie może, bo ja pieniędzy nie mam.

MENDEL.

On nie chce pieniędzy... on za tę szkodę, co miał z tych szwellów dębowych...

STARŻA.

Szkodę... że mnie oszukał?

MENDEL.

Nu, w-ny pan dobrowolnie kontrakt podpisał... ale on za tych pretensyj to nic nie chce, tylko wziąć w posesye grunta dworskie — za sześć roków będzie majątek czysty — a Jankiel dozwoli w-mu panu mieszkać w połowie dworu.

STARŻA.

Proszę, jaki łaskaw, ale z tego nic nie będzie, wolę sprzedać, aniżeli patrzyć, jak przez sześć lat zniszczy owoc mojej trzydziestoletniej pracy.

MENDEL.

Na co ma zniscyć... on fajny gospodarz. Tyle porządnych obiwatelów wypuszczają majątki w posesyę Żydkom... i mają większy czynsz i majątków nie tracą. Może Jankiel przystanie na pięć roków — to prędko przejdzie — a przecie w-ny pan ma syna, to i jemu trzeba zostawić majątek, zeby potem nie narzekał, że w-ny pan mógł majątek zachować, a tak go bez potrzeby zmarnował.

STARŻA.

Nie... nie... ja folwarku nie wydzierżawię... tyle tam pamiątek.

MENDEL.

Co to pamiątek? Aj waj! to dochodu nie przyniesie, tylko widatek... niech się pan namyśli... Tyle porządnych obiwatelów...

STARŻA.

No, już ja takim porządnym być nie chcę! *(odchodzi).*

SCENA CZWARTA.

MENDEL, *potem* JANKIEL, CHAIM, SZMUL, ICEK, FAJBUŚ, LAJBEL.

MENDEL.

A dumme goj! będziesz ty porządny, jak *mit dałłes und makes* umrzesz w mieście od głodu... Ale przecie ja tu Jankla do wsi nie wpuszczę, bo to moja wieś... to wieś mojego Lajbele. *(Woła)* Jankiel! Chaim! Szmul! Fajbuś! Icek *kümmt her.*

(Wszyscy wychodzą — Jankiel jeden w długim surducie i palonych butach z podstrzyżoną brodą i włosami. Inni w jupicach z długiemi pejsami i brodami, jak zwykle chodzą chassydzi galicyjscy. Lajbel kryje się za nimi).

JANKIEL.

Nu... czy chce się zgodzić?

MENDEL *(dostrzegając Lajbla).*

Co ty tu chcesz... gaj weg!

LAJBEL.

Ja chcę slichać, jak ty będziesz robił *geschäfte;* chce się ucyć.

MENDEL.

Nu, to słuchaj. *(Do Jankla)* Nu, on nie chce puścić w posesye dworu.

JANKIEL.

Jak nie chce, to ja na licytacyi kupię i zabiorę dwór.

CHAIM.

I koniów, i krowów, i gęsiów.

SZMUL.

Gur alles mit allen.

MENDEL.

On mnie prędzej wypuści, jak tobie... bo ja będę siedział w karczmie, a ty chcesz we dworze... a ja tobie będę spłacał... On da weksel, zaprenotujemy w hipotece i będzie git.

JANKIEL.

Na co tego, kiedy ja wolę wieś... i moich wspólników tak chcą.

CHAIM, SZMUL, ICEK.

Joj!... my tak chcemy, *wir werden a Hawsure machen!*

MENDEL.

Ale ja nie chce... a jak ja chcę, tak będzie... bo tu mój grunt, ja ich kupowałem od kahał; *(pokazuje papier) Kikste!*

ŻYDZI *(rozpatrują papier z rąk do rąk, a potem tracą rezon i oddając papier Mendlowi, mówiąc):*

Joj... er hat recht.

JANKIEL *(z szyderstwem).*

Ty kupowałeś wieś, ale nie dwór... chłopy są twoje, *aber Puretz ist mein; (pokazuje dokument) kikste!*

MENDEL *(chwyta papier, przegląda i mówi przestraszony).*

Aj waj, *ganew,* ty mnie oszukał?

JANKIEL *(obojętnie).*

To *geschäft (chowa papier).*

MENDEL.

Ja ciebie do rabina oskarżę, on ciebie wyklnie.

JANKIEL.

Co ty mnie zrobisz; rabiner tu podpisany, to czysty *geschäft* — będziesz przegrywać.

MENDEL.

Aj waj, aj waj...

LAJBEL.

Oj tate... tate... jaki ty głupi, jak proste ordynarne goj...

JANKIEL.

Nu, ja się z tobą pogodzę... kupię wieś, a tobie na trzy lata puszczę propinacye o dziesięć procentów taniej.

MENDEL *(zmartwiony).*

Aj waj, aj waj...

RYFKA *(wbiega z karczmy).*

Mendele! a bejammte ist gekümmen.

MENDEL *(do innych).*

Kümmt — zaraz będzie łycytacye *(wychodzą).*

LAJBEL *(idąc na ostatku).*

Ja nie będę taki *ezel* jak mój tate. Jak wyrosnę, to i Jankiele ztąd wipędzę *(odchodzi).*

SCENA PIĄTA.

BENEDYKT, WERONIKA, MAREK, SROCZKA *i kilkoro innych włościan.*

MAREK.

Chodzą po wsi i zwołują na licytacyą; ale z ogranicy nikogo nie widać — ciekawa rzec, kto kupi Jędrka.

BENEDYKT.

Wy moglibyście kupić, boście bogoc, a to grunt piękny i chałupa nowa, mielibyście gdzie wrazić syna.

SROCZKA *(ubrany jako woźny w czapeczce urzędowej).*

Nietylko Jędrka, ale i dwór będą licytować, a dwór pewnie kupi ten bogaty Jankiel z Tarnowa.

BENEDYKT.

Cie... na jakiego pana Srocka wysedł... z licytacyją jeździ.

SROCZKA.

Tak chodzi po świecie. Wyście skasowani z wójtowstwa, boście przepili gromadzkie pieniądze, a ja zostałem urzędnikiem, bo jestem przy sądzie substytutem prowizorycznym nadetatowego amtsdienera i wy mnie musicie słuchać.

BENEDYKT.

A wiecie, że moze lepiej dla nas, jak ciaracha nie będzie we wsi.

SROCZKA.

Ma się rozumieć, że lepiej, bo jak Jankiel dwór kupi, to sobie nie pozwoli zboża wypasać i drzewa kraść z lasu, a sam ani patyczka za darmo nie da. A ja będę też miał więcej roboty, bo was będzie co chwila skarżył do sądu. Ale teraz usuńcie się, bo trzeba ryktować licytacyą. *(Przy pomocy parobków wnosi stół zielonem suknem okryty i stawia go na środku sceny — a za nim stołki — potem przynosi papiery i woła przezedrzwi do karczmy)* Proszę w-go pana adjunkta, wszystko gotowe.

SCENA SZÓSTA.

DAWNI, ADJUNKT SĄDOWY *w mundurze,* STARŻA, JĘDRZEJ, MENDEL *i wszyscy* ŻYDZI.

Adjunkt staje za stołem. Sroczka przed stołem na rogu po lewej stronie. Żydzi ustawiają się po lewej stronie. Włościanie i Starża po prawej stronie sceny.

ADJUNKT *(czyta).*

Na mocy wyroku sądu powiatowego i na skutek prawnego zajęcia, wystawia się na sprzedaż

nieruchomość do Jędrzeja Czapli, włościanina wsi Nieborowice należącą, a w tejże wsi pod l. 42 sytuowaną, a to na satysfakcyą sumy złr. 162 kr. 5 Mendlowi Silbersteinowi wraz z procentami należącej i kosztów prawnych w kwocie złr. 23 kr. $47^1/_2$ w. austr. Cena wywoławcza według szacunku biegłych złr. 201 kr. 5. *(do Sroczki)* Wołaj.

SROCZKA.

Dwieście jeden reńskich, krajcarów pięć.

MENDEL *(cicho do Chaima).*

Łycytuj dla mnie.

CHAIM.

Dwieście jeden i sześć krajcarów. *(Mendel szepce coś do ucha Sroczce, który woła szybko):*

SROCZKA.

Dwieście jeden reńskich krajcarów sześć, po raz... po drugi... i po...

ADJUNKT *(do Sroczki).*

Czego tak pędzisz... czy nie wiesz, jak się woła? *(Do ludzi)* Kto da więcej?

MAREK.

Dwieście dziesięć reńskich ja daję, bo więcej warta, o ba, i o wiele więcej *(poruszenie między Żydami. Mendel posyła Lajbla do Marka, któremu coś szepce — Marek odtrąca Lajbla i mówi głośno)* Ja tam nie potrzebuję wasej dziesiątki. *(Do Adjunkta)* Najaśniejsy sądzie, ja daję dwieście dziesięć papierków.

CHAIM.

I krajcar!

MAREK.

Dwieście dwadzieścia.

CHAIM.

I krajcar!

MAREK.

Dwieście trzydzieści — a to uparta bestyja.

CHAIM.

I krajcar!... Nie bałamućcie, Marek, kiedy ja kupuję.

MAREK.

Otóż nie kupicie, bo ja dam trzysta papierków i jesce nie stracę. *(Szemranie między Żydami).*

MENDEL *(zniecierpliwiony).*

Wy dacie trzysta — a ja dam trzysta pięćdziesiąt!

MAREK *(do Benedykta).*

Jakosik straśnie pędzą.

JĘDRZEJ *(do Marka).*

Warta i pięćset... ale nie kupicie, bo sie Zydy zawzięły — dajcie spokój.

MAREK.

Ej, jesce dołożę, ale teraz po wasemu, Mendlu: trzysta pięćdziesiąt reńskich i grajcar.

MENDEL.

A ja będę dołożyć po wasemu 375 reńskich. *(Przed chwilą wszedł Juliusz w podróżnym stroju, kapeluszu naciśniętym na oczy, w okularach ciemnych i stanął za krzesłem Adjunkta).*

SCENA SIÓDMA.

DAWNI I JULIUSZ.

SROCZKA.

Trzysta siedmdziesiąt pięć reńskich, po pierwszy raz... po drugi...

JULIUSZ.

Sześćset reńskich. *(Kładzie pieniądze na stole)* Oto wadyum.

ŻYDZI.

Aj waj! *(Biegną do stołu i zaglądają). Pures gołd.*

SROCZKA.

Sześćset reńskich po pierwszy raz...

JULIUSZ *(do Mendla).*

Dam tysiąc i więcej.

SROCZKA.

Sześćset reńskich po drugi raz... nikt nie da więcej? *(Milczenie — Adjunkt daje znak)* i po trzeci! *(Adjunkt dzwoni — Juliusz składa pieniądze).*

ADJUNKT.

Zawieszam licytacyą, jako już niepotrzebną.

JANKIEL.

Nu, teraz pójdziemy do dworu. *(Do Mendla, szydząc). Hast a gütes Geschäft gemacht. (Do włościan)* Teraz będzie sprzedawany dworskich gruntów i dwór. *(Adjunkt zbiera papiery i chce odchodzić).*

ADJUNKT *(do Starży).*

Proszę pana.

JULIUSZ.

Za pozwoleniem pana dobrodzieja, ile wynoszą pretensye do pana Starży?

ADJUNKT.

Oprócz długów hipotecznych, z przegranego procesu przeciw Janklowi Diamantsteinowi i jego wspólnikom złr. 10,305 kr. 14 i kosztów procesu 984 złr. 11 kr.

JULIUSZ.

Oto dowód, że w depozycie sądu tarnowskiego złożyłem na zabezpieczenie tych pretensyi złr. 12,000, a tu list od mego adwokata, potwierdzający wniesienie podania o restytucyą procesu. Proszę o zawieszenie licytacyi.

ADJUNKT *(przejrzawszy papiery).*

Licytacya odkłada się aż do orzeczenia sądu.

JANKIEŁ.

Ja na to nie pozwalam — ja nie przystaję!

ADJUNKT.

Pozwolenie pańskie w tym razie zbyteczne.

JANKIEL *(uniesiony gniewem).*

Das ist Betrügerei! (Do adjunkta) Ja pana będę skarżyć do ministeryum w Wiedniu; *Sie haben mit Pollaken uf mich ein Complott gemacht!*

ADJUNKT.

Robię pana uważnym na to coś powiedział, *(do wszystkich)* a wszystkich tu obecnych biorę za świadków. *(Odchodzi — Sroczka za nim, zabrawszy papiery. Żydzi gromadnie wybiegają. — Włościanie idą do karczmy).*

SCENA ÓSMA.

STARŻA, JULIUSZ, JĘDRZEJ.

STARŻA *(nie mogąc wyjść z podziwienia).*

Ależ mój panie, kto pan jesteś?

JULIUSZ *(zdejmując kapelusz i okulary).*

Jakto, mój ojcze... czyliż mię nie poznajesz?

STARŻA.

Julek... mój drogi Julek! *(Sciska go)* Ależ tak niespodziewanie przybyłeś. Nie pisałeś od dwóch miesięcy i naraz zjawiasz się. Anim przypuszczał — a nic dziwnego, żem cię nie poznał w tem przebraniu.

JULIUSZ.

Mój drogi ojcze — sądziłem, że cała podróż moja daremna. Przeszło rok prowadziłem zaciętą walkę z krętarstwem prawników amerykańskich, i gdyby nie silne poparcie naszego kon-

sula, nicbym nie odebrał i nie miałbym o czem wrócić do Europy. Nakoniec udało mi się odebrać większą część spadku około 20,000 dolarów wynoszącą, a tę całą spuściznę oddaję do twego rozporządzenia.

STARŻA.

O mój Juliuszu, przybyłeś w samą porę, ażeby uratować mnie, a co ważniejsza, nasze rodzinne gniazdo.

JULIUSZ.

O ciebie mi najwięcej chodziło... Majątek da się nabyć... lecz gdybym ciebie skutkiem zmartwień utracił...

STARŻA.

Mój drogi — tamto równie ważne.

JĘDRZEJ.

Ale zkąd tez panicowi przysło mnie chudaka ratować; dyć ja ani brat, ani krewny i teraz nie wiem, jak będę mógł oddać tyla pieniędzy.

JULIUSZ.

O ten dług nie troszczcie się, Jędrzeju, mamy tu pewien sposób, że tych długów nie będziecie potrzebowali spłacać, a jest tu ktoś, co wam w tym razie dopomoże.

JĘDRZEJ.

Któżby taki? chyba brat mój Marcin?

JULIUSZ.

Waszego brata nie mogliśmy odszukać — przepadł jak wielu innych. Ale tu są inni wasi przyjaciele. *(Daje znak; Antek i Basia wchodzą).*

SCENA DZIEWIĄTA.

DAWNI, ANTEK, BASIA.

ANTEK *(chwytając Jędrzeja za obie ręce i patrząc mu w oczy).*

Tatusiu!

JĘDRZEJ *(chwiejąc się ze wzruszenia).*

Jantek!

BASIA *(z drugiej strony).*

I ja tez, Jędrzeju... ale nie gniewajcie się... bo widzicie, ja juz jestem zoną Jantka, a przez wasego dozwoleństwa...

JĘDRZEJ.

Cózbym się miał gniewać... Niechze was Pan Jezus błogosławi, moje dzieci! Juz mi tez teraz, kiej was mam przy sobie, nic nie brakuje do scęścia.

JULIUSZ.

Mylicie się, mój Jędrzeju, brakuje jeszcze najważniejszej osoby. *(Idzie do drzwi karczmy i woła)* Panie Mendel!

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI I MENDEL.

MENDEL.

Co wielmożny pan kaze? *(Poznając Juliusza)* Aj waj! co ja widzę?... Pan Julius... klaniam pięknie... Hm... to, to pan mnie tak podbijał w górę... to pan taki bogaty?

JULIUSZ.

Mamy tu do was interes, panie Mendel... Czy nie mógłbyś nam powiedzieć, gdzie się znajduje włościanin tutejszy, a wielki wasz przyjaciel, Bartek Kozica.

MENDEL *(zmieszany).*

Bartek Kozica? który to Bartek?

JĘDRZEJ.

Ej, nie udawajcie Mendlu... dyć ten, co u was zawdy pił... coście to od niego kupili te gęsi kradzione, co was o nie wodzili po sądach.

MENDEL *(niby sobie przypominając).*

Ach! ten Bartek... ten gałgan, co ze wsyćkiem zacynał i strasył całą wieś podpaleniem? Nu, chwała Bogu, ten złodziej pojechał nach Ameryka i pewnie tam umarł.

JULIUSZ.

Ale przed wyjazdem miał bardzo ścisłe z Mendlem stosunki i robiliście interesa do współki.

MENDEL *(zaniepokojony).*

Ja z nim... interesów? ja miałbym z takim pijakiem robić interesów?... Ten złodziej napił u mnie więcej jak na trzydzieści śrybła i uciekł... To byli takich interesów.

JULIUSZ.

A przecież są ludzie, którzy wiedzą, że jeszcze inne interesa zachodziły między wami...

MENDEL.

Nu, które ludzie? Niech gadają!

ANTEK *(występując).*

Ja to mówię, Mendlu.

MENDEL *(strwożony).*

Aj waj! Jantek... ty wrócił?

ANTEK.

A wróciłem i przywiozłem papiery, co je Bartek dał spisać przy świadkach w hameryckim sądzie, jakoście go namówili, zeby ukradł te złote pieniądze tatusiowi, co je miał od Miemca, i Bartek tez ukradł.

JĘDRZEJ.

O cudowny Jezu!...

MENDEL *(bardzo strwożony wyciąga rękę).*

Pokaż te papiery... to jest cygaństwo... to sfałszowane!

ANTEK *(cofając papiery).*

Nie róbcie sobie smaku... będziecie je widzieli ale w sądzie, tam wam powiedzą, cy sfałsowane.

JULIUSZ.

W protokóle tym zeznaje Bartek pod przysięgą, że go Mendel namówił do podpalenia domu Jędrzeja, zaasekurowanego przez Mendla, i że odebraliście pieniądze z Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, Jędrzejowi przynależne.

MENDEL.

To jest nieprawda! To oszustwo!

JULIUSZ.

Dość na tem, iż z papierów tych okazuje się, ze Mendel jest podpalacz, oszust i złodziej.

MENDEL *(zrazu przerażony, potem nabiera czelności i mówi zuchwale).*

Kto złodziej, kto podpalac? Co pan sobie miśli, że mnie pan tak krzywduje? Czy pan sobie miśli, że to dawnych czasów, co wolno było lada katolikowi Żyda wimiślać? tych czasów już się skończyło... Teraz ja taki dobry, jak pan... ja będę pana skarżyć do sąd karny za obrazę honoru.

STARŻA.

To i mnie skarż, bo mam dowody, żeś sfałszował telegram od Schultzego, żeby Jędrzeja w swoją moc dostać.

MENDEL *(czelnie).*

Schultze w Ameryka, Bartek w Ameryka... mogą ich panowie sprowadzać... niech mi w sądzie staną do oczów, to będziemy gadali.

SCENA JEDENASTA.

DAWNI I BARTEK.

BARTEK *(staje niepostrzeżenie za Mendlem i trąca go w ramię).*

Jak się mas, Mendelku?

MENDEL *(przerażony).*

Aj waj! Bartek!

BARTEK.

Będziemy sobie do óc stawać w sądzie!

MENDEL.

Cyś ty osalał? cy ty wies głupi, ze jakbyś na mnie zmyślał w sądzie jakie cygaństwo... toby i ciebie wsadzili i zgniłbyś w kryminale?

BARTEK.

Ha no, to se będziemy oba gnili, Mendelku!

MENDEL.

Bartek, co ty gadas, upamiętaj się, bój się Boga!

BARTEK.

Właśnie tez dla tego gadam, zem się upamiętał i ze się boję Pana Boga. Bez ciebie Judasu byłbym zgubił dusę na wieki. Kryminału się nie boję, bo ofiarowałem się na to, zeby na tym świecie odpokutować, a wiecność zbawić. Zniscyłem Jędzeja bez twoje podjudzanie, niechze cię wsadzą do dziury, za to, ześ tyle ludzi we wsi styrał.

MENDEL *(w rozpaczy).*

Aj! waj! aj waj mir! *(Chce uciekać).*

BARTEK *(chwytając go).*

Nie śpies się Mendelku, będziemy na cas. Niechno w-ny pan pośle po ziandarów, a nas kaze obu hereśtować, coby nam się Mendel kaj nie zapodział.

STARŻA *(który przez ten czas naradzał się z synem).*

Słuchaj, Mendlu, musisz być ukarany, ale mi żal Bartka, który się poprawił.

BARTEK.

Ej, niech mnie w. pan nie żałują... co sprawiedliwie, to sprawiedliwie.

STARŻA *(do Bartka).*

Będzie tu i sprawiedliwość. *(Do Mendla)* Daję ci do wyboru, albo cię oddam do sądu karnego — albo zwrócisz wydarty grunt Jędrzejowi, a powtóre pieniądze z twej namowy przez Bartka skradzione.

JULIUSZ.

Tu niema co się wdawać z nim w rozprawy, oddać sprawę do sądu i basta.

BARTEK.

Pójdziemy pod przysięgłych, Mendelku.

MENDEL *(namyśliwszy się).*

Dobrze... ja tego zrobię, co panowie chcą, ale niech mi powiedzą, gdzie ja tak prędko znajdę kupców na moje grunta? jak mam odebrać moich pieniędzy od chłopów?

JULIUSZ.

Pieniądze zapłacone za grunta my zwrócimy Mendlowi, a co do długów twoich lichwiarskich, radź sobie jak chcesz, ale fora z dwora do trzech dni, a jeżeli kiedykolwiek tu się zjawisz, każemy cię natychmiast aresztować.

MENDEL.

Niech i tak będzie, ale jak się tego skończy, to mnie będzie wolno wyjechać do Ameryka?

JĘDRZEJ.

A jedźcie i zabierzcie z sobą wszystkich harendazy, to dopiero naród odzyje.

ANTEK.

Tam prawie kraj dla takich spekulantów.

MENDEL.

A mise mischine sołłste haben (odchodzi).

SCENA DWUNASTA.

DAWNI, BENEDYKT, MAREK, WERONIKA, WŁOŚCIANIE, WŁOŚCIANKI.

BENEDYKT.

Jako dowiedzieliśwa się, ze Baśka przyjechała z młodym panem i Jantek z Hameryki, a przeto przyśliwa powitać, a dowiedzieć się, cemu niby wrócili, kiej pisą, ze tamok tak dobze.

ANTEK.

Oj nie dobrze, Benedyku: Wojtka zabili, Symka ledwie ze młody pan wydobył z hereśtu, Kaśka w kryminale, za to ze pokradła suknie.

WERONIKA.

O! złodziejka! Widzicie, a ona nam tu przysłała swoję ortografiją w tych pańskich sukniach i kazała nam opowiadać, ze tam wsyćkie nase baby tak chodzą, zeby my tez jechały.

ANTEK.

Matusowie i Pawłowie mają gospodarstwa, ale okrutnie sobie przyksą, bo tam taki zatracony kraj, ze jak se wspomnę, to jaże cierpnę.

BASIA.

Wolę suchy chleb tutaj, jak w Hameryce cukier: tam ani ojciec dzieciom, ani dzieci ojcom, ani brat bratu nie zycy, jeno kazden sobie rad.

MAREK.

Cie, ktoby się spodział, a nas tu prec namawiają, zebyśwa wsyćko poprzedali, a tam jechali.

JULIUSZ.

Nie róbcie tego, moi mili. U nas znowu nie tak źle, jak wyrzekają. Wszędzie pracować trzeba, ażeby dojść do czego, ale tam ciężej, bo między obcymi. Oby tylko ustało po wsiach pijaństwo. Obyśmy wszyscy byli rządniejsi, pracowitsi i oszczędniejsi, a ziemia ta kochana wyżywi i nas i naszych potomków.

JĘDRZEJ.

Dobrze pan mówią — gdzie kogo Pan Bóg osadził, tam powinien zyć i umierać, a nie sukać lepsego, zeby gorsego nie nalozł. Tam tylko będzie mu Pan Bóg błogosławił, skoro mu tam na świat przyjść kazał.

KONIEC.

Nr. 31. **Dzieci Muzy**, kom. w 1 akcie Fr. Domnika. K: 2 — M: 7.
Nr. 32. **Pan Bonifacy**, farsa w 1 ak. W. Rapackiego syna. K: 1 — M: 4.
Nr. 33. **Fotografia Jędrusia**, obr. scen. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 2 — M: 2.
Nr. 34. **Bzy kwitną**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 2 — M: 1.
Nr. 35. **Podstępem**, komedya w 1 akcie Własta. K: 4 — M: 3.
Nr. 36. **Przyjaciel męża**, obrazek scen. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 3 — M: 3.
Nr. 37. **Dzień w redakcyi**, obr. scen. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 4 — M: 10 — 3 chłopców.
Nr. 38. **Post-festum**, kom. w 1 ak. E. Wicherta przeł. Z. Mellerowa K: 7 — M: 5.
Nr. 39. **Zjazd koleżeński**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 7 — M: 7.
Nr. 40. **List rekomendowany**, kom. w 1 ak. E. Labiche. K: 2 — M: 2.
Nr. 41. **Przed ożenkiem**, obr. lud. w 1 akcie Wł. D. Gutowskiego, ze śpiewami i tańcami. K: 7 — M: 6.
Nr. 42. **Perełka**, obr. scen. przez Irenę M. (Nagoda) K: 5 — M: 4.
Nr. 43. **Nasze bziki**, farsa w 1 akcie H. Piątkowskiego. K: 2 — M: 6.
Nr. 44. **Mankiet**, fraszka scen. Ed. Lubowskiego. K: 1 — M: 2.
Nr. 45. **Żmijka**, fraszka scen. S. Żyżkowskiego. K: 1 — M: 2.
Nr. 46. **Fałszywe blaski**, kom. w 1 ak. Z. Mellerowej. K: 2 — M: 3.
Nr. 47. **Portrety kochanka i męża**, komedyo-opera w 1 akc., tłom. z franc. Duflot et Desarbres. K: 1 — M: 2.
Nr. 48. **Szarada**, obrazek w 1 akcie Ign. Grabowskiego. K: 3 — M: 4.
Nr. 49. **Pokój zawarty**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 3 — M: 2.
Nr. 50. **Złością**, kom. w 1 akcie E. Pailleron'a. K: 2 — M: 2.
Nr. 51. **Znawca kobiet**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 4 — M: 4.
Nr. 52. **Przyjaciel**, dram. w 1 ak. M. Praga, tłom. z włos. K: 1 — M: 2.
Nr. 53. **W gabinecie doktora**, obrazek w 1 akcie W. Dolińskiego. K: 3 — M: 6.
Nr. 54. **We czworo**, kom. w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 3 — M: 6.
Nr. 55. **Posażna jedynaczka**, kom. w 1 akcie J. A. Hr. Fredry. K: 5 — M: 6.
Nr. 56. **Consilium facultatis**, kom. w 1 akcie J. A. Hr. Fredry. K: 3 — M: 5.
Nr. 57. **Kto to?** Drobrostka w 1 odsł. E. Lubowskiego. K: 4 — M: 4.
Nr. 58. **Debiutantka**, fraszka w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 2 — M: 3.
Nr. 59. **Kusicielka**, kom. w 1 akcie Mosera, spolszczył J. Maszyński. K: 2 — M: 3.
Nr. 60. **Grajek**, obr. scen. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 1 — M: 2.
Nr. 61. **Fatalista**, krot. w 1 akcie T. Jaroszyńskiego. K: 2 — M: 3.
Nr. 62. **Pafnucy i Narcyz**, kom. w 1 ak. p. Brissebare i Marc.-Michel. K: 2 — M: 2.
Nr. 63. **Pieśń przerwana**, obrazek scenicz. przez Elizę Orzeszkową i Zygmunta Przybylskiego. K: 2 — M: 3.
Nr. 64. **Postanowienie**, kom. w 1 ak. p. Zofię Mellerową. K: 3 — K: 2.

Nr. 65. **Wieczna bajka,** obrazek dramatyczny w 1 akcie A. Marka. K: 2 — M: 2.
Nr. 66. **Chłopi arystokraci,** szkic dram. w 1 akcie ze śpiewkami Wł. L. Anczyca. K: 3 — M: 6.
Nr. 67. **Łobzowianie,** obrazek dramatyczny w 1 akcie ze śpiewkami Wł. L. Anczyca. K: 3 — M: 7.
Nr. 68. **Błażek opętany,** krot. w 1 ak. ze śpiewami Wł. L. Anczyca. K: 3 — M: 5.
Nr. 68. **Błażek opętany,** muzyka do śpiewu, ułożył Wł. Rzepko.
Nr. 69. **Flisacy,** obr. lud. w 1 ak. ze śpiew. Wł. L. Anczyca. K: 2 — M: 6.
Nr. 70. **Bzik mojej żony,** krot. w 1 akcie A. Marka. K: 3 — M: 2.
Nr. 71. **Monologi i dyalogi** Część I przez Fr. Reinsteina.
Nr 72. **Monologi i dyalogi** » II » » »
Nr. 73. **Monologi** Część I, przez Or-Ota.
Nr. 74. **Monologi i deklamacye (z raptularza Zagłoby)** Część II, Or-Ota.
Nr. 75. **Monologi i deklamacye staroświeckie** Część III, przez Or-Ota.
Nr. 76. **Podróżnik,** obrazek sceniczny. w 1-ym akcie Okt. Feuilleta. K: 2 — M: 4.
Nr. 77. **Pierwsza miłość,** komedya w 1 akcie Alfreda de Launay. K: 3 — M: 1.
Nr. 78. **Monologi i wiersze do deklamacyi** Bożydara (E. Bogdanowicza).
Nr. 79. **Gwiazdka błysnęła,** obrazek scenicz. w 1 odsłonie B. Gorczyńskiego. K: 3 — M: 2.
Nr. 80. **Wywiad.** Farsa w 1 akcie Oktawiusza Mirbeau. Przekł. Tad. Jaroszyńskiego. M: 2.
Nr. 81. **Ostatni kosz,** kom. w 1 odsłonie B. S. Herbaczewskiego, nagrodzona na konkursie Lwowskim. K: 2 — M: 2.
Nr. 82. **Mgła,** kom. w 1 akcie Z. Przybylskiego, nagrodzona na konkursie Lwowskim. K: 2 — M: 2.
Nr. 83. **Księżyc i słońce,** kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 1 — M: 2.
Nr. 84. **Antkowe wesele,** kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 6 — M: 5.
Nr. 85. **Wiosna,** kom. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 2 — M: 3.
Nr. 86. **Barkarola,** obrazek dram. w 1 odsłonie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 3.
Nr. 87. **Preludyum Szopena,** obrazek dramatyczny w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 3.
Nr. 88. **Lekcya deklamacyi,** fraszka sceniczna w 1 odsłonie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 1.
Nr. 89. **Guzik,** komedya w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 2.
Nr. 90. **Dzisiejsi,** kom. w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 2.
Nr. 91. **Z rozpaczy,** Humoreska sceniczna w 1 odsłonie M. Gawalewicza. K: 3 — M: 4.
Nr. 92. **Po drodze,** Humoreska sceniczna w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 5.
Nr. 93. **Bibiński,** kom. w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 5.
Nr. 94. **W porę,** kom. Przybylskiego. K: 3 — M: 3.

Cena każdego tomiku 30 kop.